

Zakres wyobrażeń przeciętnego obywatela PRL o Cyganach sprowadza się do kilku aksjomatów: Cyganie kradną, Cyganie porwują dzieci, Cyganie cygania, Cyganie kują konie, Cyganie są brudni, Cyganie grają na skrzypcach, Cyganki wróżą, Cyganiatka żebrzą. Obraz — słowem — dość brzydkimi malowany barwami.

To co jest prawdą w stosunku do wielu, może nawet większości kożuchujących Cyganów, pozostaje fałszem, gdy mowa o pewnych rodach cygańskich, które mają najlepsze chęci, by przejść do życia osiadłego. Taką właśnie decyzję podjął ród Łakatoszów z plemienia Lowari, który osiadłszy na stałe we Wrocławiu, naraził się na nienawiść pobratymców wiernych odwiecznym prawom „cygańskiego” życia, na nieufność i podejrzliwość ze strony sąsiadów, wreszcie — niestety — na niczym nie usprawiedliwione szykany pewnych organów ścigania karnego. A przecież zasady praworządności obowiązują również, a może szczególnie, wobec tej, od dawna poniewieranej mniejszości narodowej, wypchniętej dziejami za nawias społeczeństwa.

W tym miejscu trzeba z całym naciskiem podkreślić, że tylko partia — zwłaszcza w osobie sekretarza komisji narodowościowej KW PZPR we Wrocławiu od pewnego czasu zaopiekowała się troskliwie rodem Łakatoszów. Zapewne dlatego, że kłopoty Łakatoszów dotarły do KW dosyć niedawno — a nieprzyjazne wobec Cyganów stanowisko wzmiankowanych organów nie zostało jeszcze przełamane. Wydaje się, że należy tu i ówdzie przypomnieć uchwałę Rządu z 1950 r. o osadnictwie cygańskim i obowiązkach, jakie ciążyą z tej racji na władzach terenowych.



2. Ten starszy rosły mężczyzna na pierwszym planie — to Czurko Łakatosz, wójt obozu przy ulicy Legnickiej we Wrocławiu.

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok I. Łódź, 8 czerwca 1958 r. Cena 1 zł

nr 15

Gdy weszliśmy między wozy taboru Łakatoszów, wehikuł czasu cofnął nas w zamierzchłą przeszłość. Nie zwiódł nas ani olbrzymi radioodbiornik (filuternie mrugający zielonym okiem), ani telefon (numer 332-59), ani elektryczne oświetlenie cygańskich wozów. Żadne zdobycze techniki faktu tego nie zmieniały: znaleźliśmy się jak gdyby w gminie z okresu wspólnoty pierwotnej.

Czurko Łakatosz jest głową rodu. On dzieli wspólnie zarobione pieniądze, stosując klucz, harmonijnie łączący socjalistyczną zasadę „każdemu według jego pracy” z zasadą „każdemu według potrzeb”, która obowiązywać ma w komunizmie. On rozstrzyga sprawy rodzinne i kojarzy małżeń-

zresztą jego „uprawnienia” jako głowy Lowari, w Polsce i poza Polską. Ojciec Czurki, dziś już staruszek, otoczony jest szczególnym miłem wszystkich w ogóle Cyganów, chociaż parę lat temu przekazał swój sztylet — berło synowi. Lecz i dziś jeszcze, gdy wyniknie konflikt jakiś, wymaga-

O cyganieniu CYGANÓW



1. Jesteśmy w obozie zamieszkanym przez ród Łakatoszów z plemienia Lowari. Wojciech Gielżyński rozmawia z wójtem Czurko Łakatoszem, a w drzwiach wozu widzimy Teresę Łakatosz, która padła ofiarą szyskan.

JAN ADAMOWSKI

JAK Z HRABIA POTOCKIM...

Od chwili wydania uchwały Komitetu Centralnego PZPR o stosunku do mniejszości narodowych w Polsce oraz ustawy sejmowej o pociąganiu do odpowiedzialności karno-sądowej za szowinistyczne wystąpienia lub prześladowania — problem ten znikł z łamów prasy. Odnosi się wrażenie, że zapomniały już sielskie-anielskie stosunki i nie nie zaciemnia firmamentu wzajemnego współżycia ludzi różnych narodowości. Jedynie „Folkslist” (organ Żydów w Polsce) publikuje od czasu do czasu informacje o antyżydowskich poczynaniach niektórych zagorzałych rasistów spod znaku Doboszyńskiego. Inne gazety i czasopisma zazwyczaj milczą.

Czyżby samo wydanie uchwały zlikwidowało problem?

Gdyby istotnie tak było, znikłoby wiele kłopotów nurtujących kraj i społeczeństwo,

a przecież nie znika. Nie ludźmi się więc i nie postępujemy, jak ów bohater z anegdoty, o którym mówią, że gdy zamknął oczy, czyniąc w centrum miasta nieprzyzwoitą rzecz, wydawało mu się, iż nikt tego nie widzi.

Nikt, rzecz jasna, nie wystąpił dziś otwarcie z nacjonalistycznymi poglądami, nikt na nikogo nie napadł, oświadczał na głos: „Biję cię za to, że jesteś Żydem, Białorusinem, Ukraińcem lub Niemcem”. A jednak zagadnienie nacjonalizmu wciąż jest żywe.

Nie zawsze źródła antagonizmu powstają na tle politycznym.

Chciałbym wskazać ich materialne podłoże. Dla przykładu: w lipcu ub. r. odbyło się w Łodzi spotkanie ludności z zastępcą Generalnego Prokuratora — Mazurem. W trakcie dyskusji jeden z obywateli mówił o pewnych zjawiskach dyskryminacji

żydowskich dzieci w szkołach (pisała o tym również Romana Granas w „Nowych Drogach”). W odpowiedzi na to wstały dwie Polki i wyuszczyły przed Generalnym Prokuratorem swoje sprawy. Jedną z nich miała matka Niemca, który zginął z rąk hitlerowców w czasie okupacji. Mimo to ona i syn prześladowani są przez sąsiadów Polaków. Druga — jest córka Polaka i matki Niemki i od wielu lat spotyka ją ten sam los.

Byłem pewny, że po upływie roku sprawy te jakoś się ułożą. Tymczasem przed kilku dniami otrzymałem od jednej z nich telefon. Błagała o pomoc.

W 1937 r. zawarty został u notariusza Aleksandra Smolińskiego akt, mocą którego młode małżeństwo Bronisława i Marta Kamańczyk zakupiło na terenie Łodzi 56 arów ziemi. On był robotni-

stwa. On czuwa, aby Cyganki, ulegające, rzecz prosta, tradycyjnym nawykom — nie włóczyły się po mieście, wróżąc lub kradnąc, i surową ręką wypenił już wśród swoich niemal całkowicie tego rodzaju ciagoty. On jeden reprezentuje swój ród, ponad pięćdziesiąt głów liczący, wobec władz. On wreszcie, w dni uroczyste, przyobleka strój parady: skórzana kurtka, w chrabąszczowym kolorze i także bryczesy, wysokie buty o czerwonej cholewie, za pas zatyka insygnium władzy najwyższej nad wszystkimi Lowari — mały sztylet z szerego złota.

Czurko Łakatosz bowiem, choć nosi skromny tytuł „wójty”, jest dla całego plemienia Lowari (nie tylko dla osiadłych we Wrocławiu kilkunastu rodzin najbliższej spokrewnionych) takim samym zwierzchnikiem jak zamieszkały w Katowicach „król” Kwiek z plemienia Kelderari, a niejaki „Felek” — dla licznych drobnych klanów cygańskich, obejmowanych wspólnym mianem „Cyganów nizinnych”. Znaczenie Łakatosza wśród cygańskiej społeczności przekracza

jacy wielkiej mądrości i rozważli. Idą Cyganie do starego Moro Łakatosza. Zapewne nawet sam król Kwiek, choć zamyśla wyemigrować wraz z rodziną do Argentyny, będzie się musiał przed nim tłumaczyć za awanturę, którą niedawno wywołał na jakiejś wesolej biesiadzie w Łodzi...

Honory pań domu czyni wójt

Dokończenie na str.

5

W NUMERZE:

● REQUIEM DLA KIRKUTU

● UPUPIĆ MATURE

● MIŁOŚĆ I ŁZY

● CESARSKI ORĘŻ U SZCZYTU CHWAŁY

● CZASY I LUDZIE

● KTO ZABIŁ?

NA WCZASACH

CZYTAJ



Doręczenie naszego tygodnika do miejsca pobytu wakacyjnego zapewnisz sobie wplacając kwotę prenumeraty na konto PUPiK „RUCH” PKO Łódź 7-6-57 z zaznaczeniem „ODGŁOSY”



J. L. Barraut

rys. Ibis-Gratkowski

Dokończenie na str. 3

UPUPIĆ MATURE

Motto: „Pupa, pupa, bez uczniów nie było szkoły, a bez szkoły życia by nie było”.
(dyr. Piórkowski „Ferdurke”).

Dni temu kilka Wasz Belfer składał egzamin maturalny. Czynił to z całym przejęciem w pewnym łódzkim liceum, wobec ciała pedagogicznego („Nie tak nie wpływa na ducha jak ciało” — mawiał prof. Pimko) tworzącego okazjonalnie Państwową Komisję Egzaminacyjną. Belfer tryskał potem, duch w nim upadał, męczył się, witał i oblał. Albowiem na 19 tysięcy 831 zadanych w przytomności Belfra pytań maturalnych, Belfer zdolen był odpowiedzieć tylko na jedno, natomiast nie potrafił odpowiedzieć (w myślach, chwalił Boga, w myślach!) na 19 tysięcy 830 pytań. Owo jedno szczęśliwe pytanie zadał ktoś z Państwowej Komisji Egzaminacyjnej: „Belfer, jak następuje: — Pardon, która godzina?” Belfer ukontentowany się swą niezaprzeczalną możliwością udzielenia ścisłej, wyczerpującej i szybkiej odpowiedzi na powyższe pytanie, pograżył się w myślach. Oto one, już posegregowane, skrócone, pozbawione elementów brzydkich z punktu widzenia Ojczyzny, Wlary i Sprawy.

MYŚL PIERWSZA (wagi koguciej)

„Biezące” pokolenie dojrzewające jest pokoleniem straszyc, okropnym, wymagającym bicia w alarmowa dzwony i trąbienia w alarmowe trąbki. A straszyc nie jest z uwagi na swe chuligaństwo, pijanstwo, chuligaństwo, aideość i tepe, jtepe, tramtaBIElacje. Jest straszyc, albowiem na egzaminie jak wie, to mówi, a jak nie wie, to nie mówi. Nie umie pływac, Czarować, Zagadywać, Dygresjonować, Eliminować, czyli w ogóle zdawać egzaminu w naszym, starych wygów, znaczeniu tego słowa.

Ergo wyrosną z niego może skrupulatne konowały, rachujące inżynierzy i obkute belfry. Ale skąd, ach skąd weźmiemy zbawców, wieszczów, mesjaszów, geniuszy, bohaterów, wodzów, żywe sztandary, kandydatów na pomniki i inne rzeczy, które nasze są, z których się jako naród na ogoł składamy?

Biada nam biada! Taka przykrość w same Mille-nium, kiedy dziesięć wieków gapi się na nas!

MYŚL DRUGA (wagi lekkiej)

Kiedyś szło się na studia „zgodnie z zainteresowaniami”. Za moich cza-

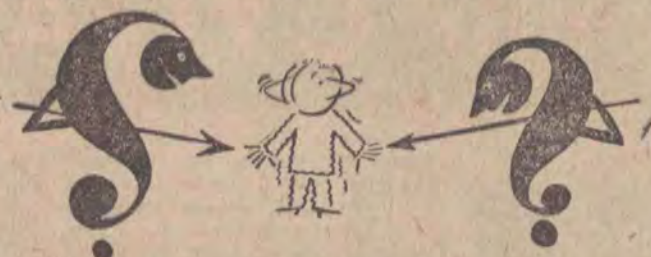
sów, to jest latek temu, kilkoro, wszystko było jedno, gdzie dostawało się te swoje tysiąc z czymś. To jest w jakiej branży. Grunt, że się zawsze je dostawało. Trud wyboru kierunku polegał na mozołnym szukaniu w sobie talentnych gruczołów, ukrytych zainteresowań i ciągłotek lub wypytaniu starszych kumpi, na jakim to fakultecie daje się widzieć najwięcej ładnych dziewczyn. Dziś młody gentleman jeszcze nim staje do zdobywania maturalnych ostróg, żmudnie kalkuluje, gdzie to jeszcze (jak wynika z prasy lub rocznika statystycznego) walczy posadki, o ile dziesięćtek zlp inż. chem. ma więcej od inż. agr., a dr wet. od dr stom. Gdzie szanse dostania się na uczelnię są większe, gdzie mniejsze. I oto humanistyki, filozofie, historie sztuki i inne pięknoty-howe kierunki uniwersyteckie zyskują praktycznych zwolenników i tylko wśród frajerów, brataników amerykańskich wujaszów i maniaków o skłonnościach somnambulicznych i samobójczych. Polska staje na głowie. Siedemnastolatki mają rachunkowa-złotówkowe pro-

w mózgu? Dramat. Chyba dramat programu nauczania.

MYŚL CZWARTA (wagi półśredniej)

Ze imię panowie Reje czy Potoccy są w programie obszarniczo rozpęchani, a za to żadnymi tam Mannami, Hemingwayami, Camusami, Tołstojami, Dostojewskimi, Hamsunami, Sartreami, Kafkami, Zegadłowiczami, Gombrowiczami, się zbytnio naszej kochanej młodzieży główek nie zawracają — to jasne jest i słuszne. Co innego literatura do uczenia, a co innego do czytania. „Bogurodzica” bardziej zapładnia intelekt niż „Czajadziejska. Góra”. W ogóle „szkoda kuźde słowo”.

Ze książek dzielnicowych szubactwo lepiej zna niż premierów międzywojennych, bunt Masława od przewrotu majowego, a historię wojny szwedzkiej od drugiej światowej — to jest jasne jak słofce i głęboko uzasadnione. Jak wiadomo taki Masław ma duży sobie wpływ na np. aktualną atomizację społeczną w Polsce, nie mówię już o zwykłym chuligaństwie.



MYŚL TRZECIA (wagi lekko-średniej)

Kiedym zdawał maturę, ja, Wasz Belfer, losując kartkę z pytaniami modliłem się cicho: Boże, daj mi... Rewolucję Październikową, rolę organizacji kobiecych, wydział u Kochanowskiego, albo rolę partii na wsi. W końcu wyciągałem przecie bitwę pod Lenino, a kolezdy zazdrościli: szczęściarzu!

Jam zaś spając ze szczęścia rzucał odruchowymi formułkami, które wprost z plotów, gazetowych tytułów, głośnień lub zgola filmów przenikały bez udziału głowy gdzieś do centrum moich odruchów. I gadałem: nasza dzielna... wraży faszyzm... pod kierunkiem... u boku... pokonała, zwyciężyła... pokonała, zwyciężyła... Dziś na maturze młodzienc wyciąga Rewolucję Październikową i zamiast promienieć — błednie. I nie zgola nie gada.

Rewolucja francuska to w świadomości szkolnego szubaka szereg dat, nazwisk, faktów, ułożonych według niejakej kolejności, wynikających z siebie. Te rzeczy na ogół uczeń zna. Rewolucja Październikowa to już dziś w pojęciach i wypowiedziach ucznia nie jest „wielki przełom”, „sily wsteczne i postepowe”, „historyczne znaczenie” i jeszcze kilka ogólników. Ale też jeszcze nie jest to obiektywny lańcuch faktów historycznych, jeden z najważniejszych w całej tej mili-siej nauce. Przed kilku laty młody człowiek nieczym premier oceniał, wymierzał sprawiedliwość, nie oglądając się na fakty. Dziś trzyma w garści kilka faktów, niczego nie ocenia. Dziura

I oto jakiś facet podobno wpadł na pomysł takiej reguły, by całemu średniowieczu poświęcić tyleż czasu co drugiej wojnie światowej. Newtonowi jedną dziesiątą tego co Einstei-nowi i w ogóle postępować według zasady: „czym bliżej nas tym więcej, czym dalej tym mniej”.

Potem to on drań wymyślił, żeby umieścić w programie wiadomości z dziedziny np. filmu czy kodeksu karnego (naszego, nie ham-murabiowskiego). Ale to są wszystkie oczywiście bzdury tego drańia, który dla oświaty, narodu, Millenium i nauczycielstwa żadnego tam szacunku nie posiada. I sam bym z racji zawodu swego (to jest belferstwa) takiego faceta z takimi pomysłami zaprowadził na milicję w celu spaikowania. Gdyby nie to, że sam nim jestem i palkowanym być nie kocham.

P. S. lub MYŚL PIĄTA (wagi półciężkiej)

Dawaj! Zlikwidujemy maturę! Jako taką. Bo primo — z tego przedmaturalnego wkuwania a la minute wszech nauk już po miesiącu nie w głowie nie zostaje. (Stwierdzone absolutnie!). Po drugie można by zamiast „uprawiać matury” znacznie podnieść poziom egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie. Te ostatnie bowiem rzeczywiście decydują dziś o losach ludzi. Nie matura — rzecz sama w sobie przydatna do zamiatania fabrycznego podwórka.

Po trzecie matura to jest denerwacja, niepotrzebne wysiłki finansowe. Przez dwanaście lat każdy łazi do szkoły, a potem okazuje się że losy jego życiowe i cała wiedza zawisła od dwumiesięcznego, przedmaturalnego kucia, że od tego kucia zależy kończenie „budy”.

Można na zakończenie szkolnej edukacji wprowadzić egzamin pisemno-ustny na wzór uniwersyteckiego magisterium. To jest opra-



De Gaulle-ia est omnis divisa



(Artykuł o Francji czytaj na str. 4).

JAN KURASIŃSKI

GDY METEOR ŁĘCZYCKI ZGASŁ

Artykuł Włodzimierza S. Marka (Odgłosy nr 9 z dnia 27 kwietnia 1958 roku, strona 4), poświęcony przyczynom zamarcia Klubu Młodej Inteligencji w Łęczycy — pobudza do rozmyślań, wywołuje reakcje, zmusza do polemiki. Nie można oceniać artykułu Marka miarą doprawionego doń tytułu: „O majteczki na posładku łęczyckiej dziewczki”. Byłoby to uproszczeniem zjawiska, podporządkowaniem ważnej sprawy społecznej interesom handlowo-reklamowym.

Sens i treść artykułu da się określić jednym wybranym z niego zdaniem: „Klub Młodej Inteligencji w Łęczycy dokonał żywota. Zwalczano go kiedyś, a dziś mówi się o nim — szkoda że przestał istnieć”. To prawda. Ale przyczyny upadku łęczyckiego klubu podane przez autora, nie są jedynymi i najważniejszymi. Były line i o nich pragnę mówić.

Mimo woli narzuca się pytanie: dlaczego Klub Młodej Inteligencji w Łęczycy powstał jako jeden z pierwszych w kraju i przeżył taką dynamiczną żywotność? Odpowiedzi szukać należy w sytuacji inteligencji małych miast i miasteczek. Zabicie inicjatywy społecznej, napływ do Łęczycy inteligencji technicznej powodowany rozbudową kopalnictwa rud żelaza, nagromadzenie niewyżytego potencjału twórczego — rozszalały ramy ustalonego w „minionym okresie” porządku społecznego działania. Potrzebowano spotkań między miejscową a napływową inteligencją, szukano sposobów społecznego wyżylenia się, chętno wiedzieć prawdę o wszystkim i poszukiwano jej w namiotnych, odważnych, schodzących nieraz na tory błędne, dyskusjach.

Z jakich więc przyczyn rozpoczął się kryzys życia klubowego, a potem proces jego obumierania? Tylko z braku konkretnego programu pracy. W rozwoju wypadków „październikowych” trzeba było szybko przecho-

dzić do konkretnego działania społecznego, potrzebę społecznego wyżylenia skierować do prac ze społeczeństwem. Dyskusja już nie wystarczała. „Dyskutowania” staczała nieuchronnie klub na pozycje niezadowolonia, jakieś jeremiady i oportunizmu. Nie sprośny rzekomo rysunek na ścianie lokalu klubowego, ale obawa przed wyrośnięciem ogniska oportunizmu spowodowała zastrzeżenia czynników politycznych. I to była jedna z przyczyn upadku klubu, brzemienna w dalsze konsekwencje.

W klubie łęczyckim spotkała się inteligencja miejscowa z inteligencją nowoprzybyłą do Łęczycy. Inteligencja reprezentująca dyscyplinę humanistyczną z inteligencją techniczną, inteligencja o wykształconym typie miłośnika swego regionu z inteligencją traktującą swój pobyt w Łęczycy dorywczo i niepodatną dla asymilacji środowiskowej. Takie zjawisko nie sprzyjało wytworzeniu się więzi wewnątrzklubowej, wspólności celów. A ponieważ inteligencja nowoprzybyła stanowiła większość, w głównej mierze na niej oparto trzon kierownictwa klubu. Potwierdziła się jeszcze raz słuszność zasady, że życie i kulturę środowiska mogą tworzyć i kształtować tylko ludzie kochający i związani ze środowiskiem.

Do Klubu Młodej Inteligencji przylgnęli młodzi i starzy, ludzie o różnym światopoglądzie politycznym. Stało to się powodem wielu zgrzytów i tarć wewnątrzklubowych.

Jeszcze do dziś trwa konflikt pomiędzy młodymi lekarzami, który w życiu klubu łęczyckiego urosł do symbolu walki o lepsze jutro, o stosunek do budowy socjalizmu. Nie tylko zawodowa rywalizacja stwarzała podstawy konfliktu, lecz selerali się także dwie postawy życiowe. Pierwsza — bezinteresownej służby dla społeczeństwa, druga — w gruncie rzeczy sobkowska. Tak diametralnie różne

pozycje życiowe nie mogły obcować we wspólnym organizmie społecznym.

Zróżnicowanie światopoglądowe członków klubu nie sprzyjało jego rozwojowi, musiało doprowadzić do rozbiega ideowego. Klub Młodej Inteligencji w Łęczycy miał wszelkie dane, aby stać się awangardą życia społecznego i kulturalnego w mieście. Szansy tej nie wykorzystał, zaprzepaścił swe możliwości.

Inteligencja zrzeszona w klubie łęczyckim ujawniła konsumpcyjny stosunek do kultury. Dyskusyjne wieczory, odczyty, wieczory tańeczne, wystawy, kąciki brzydowe, seanse filmowe miały zawsze zapewnioną frekwencję. Ale w bezpośrednich pracach nad organizacją imprez, w pełnieniu funkcji organizatora i gospodarza tychże — brała udział niewielka grupa osób. Większość członków tendencyjnie stronila od pracy.

Konsumpcyjny stosunek do kultury, bez poważniejszych ambicji twórczych, wpływał wyjąławiająco na wszelki ruch amatorski. A bez amatorskiego ruchu kulturalnego nie mogło być mowy o rozwoju i wzbogacaniu kultury małych miast. Nie spełniając tego warunku, klub zatracił perspektywę rozwoju, stawał się dla społeczeństwa zbędny.

W historii Łęczyckiego Klubu Młodej Inteligencji widać, jak w lustrze, sytuację kulturalną na tzw. „provincji”. Przez likwidację klubu sytuacja ta nie uległa bynajmniej poprawie w Łęczycy.

Życie szybko mknęło na przód. Nie czas na rozważanie możliwości reaktywowania Klubu Młodej Inteligencji. Funkcje jego przejmie nowa komórka organizacyjna, społeczna. Inicjatywę podjęto wśród grona ludzi, miłośników regionu łęczyckiego, zgromadzonych wokół miesięcznika regionalnego „Ziemia Łęczycka”. Należy żywić, aby inicjatywa podjęta została z pełną odpowiedzialnością. Społeczeństwo czeka.

Podziękowanie

Niniejszym dziękuję panu Robertowi Gluthowi za przeprowadzenie na mojej osobie zbawiennej kuracji a to w związku z objawami obserwowanymi u mnie patologicznego chamstwa.

Terapia polegająca na aplikowaniu mi autowizorów niepokalanej uprzejmości odniosła tak zadziwiająco pozytywny skutek, że zawarte w notatce p. Glutha pt. „Nasza szkoła” („Za i Przeciw” z 1 czerwca) małe donosy polityczne przyjąłem z zachwytem, bez sprzeciwu i z pełnym uznaniem dla jego zdol-

ności wersalskich i... nie tylko.

Pragnę więc tylko skromnie się przypomnieć, że wbrew p. Glutha w tej kwestii stwierdzeniu szkolkę kończyliśmy tę samą. Dopiero służba różnym panom nas rozdzieliła.

Jeszcze raz łączę serdeczne podziękowania za bezpłatną edukację, panie... no... ongi korespondencje poczytne tygodnika młodej inteligencji i studentów a obecnie „Za i przeciw”.

BELFIJ



REQUIEM DLA KIRKUTU

STEFAN BRATKOWSKI

Pan Malinowski idzie do pracy, pani Kwiatkowska wraca z pracy, dzieci Kowalskich idą do szkoły, rano, dzień, wieczór, noc. Tam zmieniono ustrój, gdzie indziej modę na kąpielówki. Pokój, wojna. Co? Nowa satyna w nowoczesny wzór? Gdzie? Na Piotrkowskiej. Tak. Po 19 złotych 30 groszy. Ulica — jeden człowiek, dwa, tysiąc, tysiące ulic, tysiące domów, tysiące ludzi. W tej samej chwili urwis wychodzi na słońce, śmieje się, a stary kabotyn mówi: „Cest la vie”. Dodaje — życie się toczy. A w Łodzi między Inflancką a Przemysławą umiera kirkut.

Kirkut to jest żydowski cmentarz. Chcecie wiedzieć jak umiera?

Notatka prasowa:

„W nocy z 14 na 15 kwietnia nieznani sprawcy dokonali dewastacji pomników na cmentarzu żydowskim. Ohydą tego czynu uwidoczniła się jaskrawo w zestawieniu z faktem, że cztery dni wcześniej złożono na cmentarzu ekshumowane zwłoki czterech ofiar Oświęcimia. Zniszczono około 170 pomników nagrobnych”.

Komentarze zakulisowe: zorganizowana robota. To już nie pierwszy raz. W listopadzie ub. roku było już coś podobnego.

Kongregacja wyznania Mojżeszowego w Łodzi składa skargę w Komendzie Milicji. Kongregacja zwraca uwagę, że fakt dewastacji jest szczególnie przykry wobec perspektywy bliskiego przyjazdu przedstawicieli Związku Żydów Amerykańskich. Kongregacja wyraża swoje najwyższe zaniepokojenie.

Prokurator prostuje. Nie sto siedemdziesiąt, a tylko sześćdziesiąt trzy. Tylko sześćdziesiąt trzy pomniki zniszczono w ostatnim okresie.

Cmentarz ma swoich dozorców. Dozorcami cmentarza są bracia Kaczmarkowie. Jeden pracuje od 1916 roku. Oczywiście, duża część płyt i pomników niszczyła wskutek działania warunków atmosferycznych przez trzydzieści lat. Dozorcy hodują kwiaty, hodują drób. Dopukać się do nich trudno. Trzeba dobrze walić, żeby Kaczmarkowie otworzyli furtkę. Kirkut jest duży, prawie 40 hektarów. Dozorców jest tylko dwóch.

Jak złoczyńcy dostali się na cmentarz? Po kamieniu przystawionym do muru od ulicy Inflanckiej. Można też wleźć przez dziurę. Prokurator podczas wizji lokalnej spotyka obcą, starą kobietę. Co pani tu robi? Zbieram trawę dla królików. Jest dziura w murze, to można wejść.

Pan Stefan Cajdler z ulicy Przemysławskiej podejrzany jest o rozbieranie muru. Na podwórku ma 10.000 sztuk cegieł, białe. Skąd pan to ma? Gdzie pan kupił? Pan Cajdler nie potrafił wytłumaczyć. Zbudował już jeden domek, podarował bratu. Teraz zbiera materiał na drugi.

Kongregacja przekazuje Prokuraturze kosztorys naprawy muru. Wszystko bardzo dokładnie: dziura tyle i tyle metrów — tyle



(foto L. Olejniczak)

I tyle cegły na metr. Druga dziura — tyle, trzecia — tyle. Plus koszty robocizny. Z adnotacją: — przy wykonaniu przez firmy prywatne 100 proc. drożej.

Mur można odbudować. Ale co może mur? Mur nie strażnie złodzieja.

Stary kirkut umiera. Zaledwie kilkanaście bodaj grobów jest pielęgnowanych. Po zmarłych nie pozostali żywi. Żydzi. Ci, którzy nie opiekują się grobami przodków, sami nie mają grobów. Popioły fruwały po świecie. Z Oświęcimia, Treblinki. Przodkowie są szczęśliwi. Mają chociaż groby. Jedne bogate, kupieckie, mieszczańskie. Pretensjonalne groby byłych posiadaczy. Drugie — biedne płytki, trawiasie groby krawców, włóknarzy. Już zamazały się nazwiska, stoja tylko kamienne płyty, sztorcem do góry. Jeśli pchnąć jedną, to, jak domek z kart, sześc albo i osiem zaraz poleci. I huk będzie z tego na cały kirkut.

To mi powiedział mały jedenastoletni P.

Bracia „Kotlety”, Bogdan i Kajtek, przewracali pomniki (oczywiście, w ogóle to nie tylko oni). Włodek M. patrzył tylko z muru, nie przewracał. Pilnował tyłów. „Kotlety” to dobre numery. Kajtek jest pod nadzorem kuratora za chuligaństwo, Bogdan ma wyrok z artykułu 132 — miesiąc aresztu z zawieszeniem na trzy lata. Kiedy Bogdana zatrzymali, jego sąsiedzi odetchnęli z ulgą. „Kotlety” mają 17 i 16 lat. Ale mili nie są. Bogdan pisał zażalenie na złe traktowanie go przez milicję. Podobno groził mu przy przesłuchaniu. Oczywiście kłamie. Sam groził małemu P. podczas konfrontacji za to, że powie-

dział, co „Kotlet” robił na cmentarzu. A „Kotlet” napisał zażalenie z 63 błędami ortograficznymi na półtorej strony. Mały P. mówi, że „Kotlety” namawiały go do wynoszenia marmuru z cmentarza, bo podobno za marmur kamieniarze dobrze płacą.

— Ale niektóre były silnie zbudowane (pomniki), więc ich nie można było przewrócić — przyznaje. Nie wynieśli nic. Wszystko, co zostało rozbite, zostało na cmentarzu.

Zorganizowana robota?

Bracia C., trzech w wieku od 11 do 14 lat. Grali z kolegami w podchody i gonili się na cmentarzu. Normalnie na kirkucie jest wysoka trawa, na 10 metrów schowasz się tak, że nikt cię nie dojrzy.

Włodek M. przyznaje się do chodzenia na poziomki. A mały K. został osadzony w zakładzie wychowawczym. Adwokat prosi o cofnięcie nakazu — mały K. kończy siódma klasę, ma zdawać egzamin z muzyki. Jego rodzina cieszy się dobrą opinią i zapewni mu opiekę. Między nami mówiąc mały K. to już ziołko niegorsze. Opinię ma mocno zaszarganą. Przyznaje się tylko do zerwania raz palmy na kirkucie. Do rzucania kamieniami w pomniki, jako do celu, nie przyznaje się.

A „Kotlety” przychodziły często na cmentarz. Grywali tam w karty. I nie tylko.

Sledztwo zatacza coraz szersze kręgi. Na cmentarzu bywali chuligani i zwykłe urwisy. Urwisy podnosiły butelki rzucane za mur kirkutu przez ludzi idących od przystanku PKS. Rozbijali butelki o płyty. To świetna zabawa: bęc i butelka pryska.

Kirkut — tyle miejsca, trawa, czy w Łodzi jest tak dużo miejsca do zabawy dla dzieci?

Dzieci pochowanych zmarłych nie ma w Łodzi. Sami zmarli — pod trawą, pod zarośniętymi pomnikami — schodzą gdzieś głębiej pod ziemię, w niepamięć. Pęta grają na grobach w guziki, w klincówkę. Chuligani rozbijają groby dla draki.

Kongregacja Wyznania Mojżeszowego w Łodzi zapytuje czy braciom Kaczmarkom nie można by dać broni? Jakies pistolety może, czy coś... Wyjdą, strzelą w powietrze, postraszą... Władze mówią — nie. Dzieci nie kaczkę.

Kongregacja ofiarowuje się opłacać dwóch dodatkowych milicjantów w Komendzie Dzielnicowej, żeby pilnowali cmentarza. Prokurator skierował przedstawicieli Kongregacji do Komendy Miejskiej MO. Zrobił to z wyrazami powątpiewania. Czy to dwóch upilnuje? I zresztą milicja do pilnowania cmentarza? Może raczej spółdzielnia „Dobry Mienią”?

Stary kirkut umiera. Część wyznawców — jak mówiem — spalono w krematoriach, część rozjechała się po świecie. Urzędowa ochrona ze strony Kongregacji to nie to co opieka dzieci nad grobami rodziców.

Milicjant przechodził z psem gończym wzdłuż muru kirkutu. Pies zerwał się w pewnej chwili, podągnął milicjanta za mur, między pomniki i trawę. Wśród cisy rozsoncznionego cmentarza, między pomnikami i trawą milicjant znalazł nagą opalającą się dziewczynę.

JAK Z HRABIĄ POTOCKIM...

Dokończenie ze str. 1

runkach depresji moralnej i psychicznej Bronisław Kamańczyk zginał tragicznie pod kołami pociągu.

Jak w tym czasie zachowywała się nowokreowana folksdeutsche? Żyje do dziś w Łodzi sporo Polaków. m. in. rodzina Badowskich, Zygmunta Wandachowicza, którzy wyrażają się o niej z szacunkiem. Wysyłała ludziom paczki do obozu, niektórych przechowywała w mieszkaniu. Toteż, gdy po wyzwoleniu, Prokuratura Łódzka przeglądała akta jej spraw, uwolniła ją od zarzutu odstępstwa od narodowości polskiej i współpracy z okupantem. (patrz — orzeczenie Prokuratora Sądu Okr. Nr XII DS 7150/47).

Wydawałoby się, że Marta Kamańczyk została tym samym przywrócona do wszelkich praw obywatelskich. Tymczasem w dwa la-

ta potem, decyzją Łódzkiej Komisji Ziemskiej, postanowiono odebrać jej owe 55 arów, jako mienie niemieckie i przekazać na rzecz Państwowego Funduszu Ziemi. I chociaż Marta pracowała w charakterze przadki w Zakładach Im. H. Sawickiej (od 13 lat jest jedną z najlepszych robotnic) postąpiono z nią, jak nie przemieszczając z hrabią Potockim. Przydzielono więc 23 ary oraz pół domku niejakiemu Słobodzie (nawiasem mówiąc, posiadajacemu o kilometr dalej 75 arów własnej ziemi), a drugą połowę przyznano jej córce, Danieli, która ma prawo skorzystać ze spadku ojca — Polaka.

Od tego czasu ciągnie się nieprzerwany spór o pięćdziesiąt arów między Martą Kamańczyk a państwem. 9 lat chodzi Marta do Sądu, do Prezydium MRN, do Referatu Urzędów Rolnych, do Ministerstwa Rolnictwa, tłumaczy, argumentuje, prosi o odrobinę sprawiedliwości.

Jak dotąd nikt nie chce się przyznać do tamania praworządności i moralnego maltretowania starszej kobiety.

Sąd Powiatowy (Wydział Cywilny) w dniu 4. XI. 54 r. zawyrokoował, że własność jej nie podlega zajęciu, lecz dla wszelkiej pewności przestał akta do Sądu Wojewódzkiego (VIII Wydział Karny). Ten zaś, metodą „podaj dalej” odsyła do Wydziału Finansowego celem wyjaśnienia. Dwa lata upłynęły zaledwie. Wydział Finansowy Łódź — Włodek orzekł: „Nie ruchomość Marty Kamańczyk stanowi ziemię orną (23 ary) i znajduje się pod zarządem Wydziału Rolnictwa (sic), który może Sądowi udzielić wyjaśnień.

Dalsze koleje losu tej niecodziennej historii wystawiają smutne świadectwo miejscowym organom sprawiedliwości.

Oto po wielokrotnych po-nagleniach VIII Wydział Karny postanawia na dzień

21. II. 1957 r. wezwać świadków i przedstawicieli Wydziału Rolnego na rozprawę. Od decyzji do realizacji mija rok. Wreszcie 8. I. 1958 r. Sąd bierze sprawę na wokandy. Tym razem „na od-wyrtkę” nie zjawili się ani ławnicy ani prokurator. W miesiąc potem (11. II. br.) odbyła się kolejna rozprawa i Sąd znów... odracza sprawę.

Pisze Marta Kamańczyk do Ministerstwa Rolnictwa i otrzymuje odpowiedź: „Nie znajdując podstaw do rewizji i zmiany orzeczenia, Ministerstwo Rolnictwa nie może uwzględnić próśby obywatelki”.

W tym miejscu autor niniejszego artykułu przepraszam Ministerstwo Rolnictwa za mimowolne wtrącanie się w nie swoje sprawy i zapytuje: — jakże to koniec końców jest z naszym ustawodawstwem? Albo uznamy Martę Kamańczyk za zdradczynię narodu i odbierzemy jej te 23 ary ziemi i 2 libry,

jako mienie niemieckie (w tej sprawie jest odmienne orzeczenie Łódzkiej Prokuratury), albo uznamy ją za pełnoprawną obywatelkę Polski Ludowej i przywrócimy należną jej własność. Albo uznamy ją za obszarniczkę i zgodnie z dekretem Manifestu PKWN zatwierdzimy parcelację (co jest znów sprzeczne z dekretem, biorąc pod uwagę ilość ziemi) albo traktować ją będziemy jako człowieka pracy, który ma prawo do tego rodzaju własności. Chciałbym przy okazji nadmienić, że w dwu ciasnycch izbach mieszka Marta Kamańczyk z matką staruszką oraz córką z zięciem (oboje nauczyciele w Łodzi) i dzieckiem.

Tymczasem rodzina ta spotyka się z coraz liczniejszymi szykanami. W organizowaniu ich niepoślednią rolę odgrywa ów ob. Słoboda. Celem tych szykan jest zupełne wyrugowanie faktycznych właścicieli i zajęcie całej posesji. Mają one charakter wybitnie szowinistyczny. Doszło do tego, że jedna z uczennic (siostrzenica Słobody) uderzyła w twarz nauczycielkę z okrzykiem „Szwabę, marsz do Niemiec!”

Oto więc materialne tło

antagonizmów narodowościowych, które bardzo często dają o sobie znać w formie ostrych, pełnych nienawiści spięć.

Nasuwa się mimo woli pytanie: milczeć, czy pisać o tym? Doświadczenie ubiegłych lat dało nam lekcję poglądową, do czego prowadzi zamykanie oczu na rzeczywistość. Wprawdzie niektórzy publicyści uważają, że nie należy „rozdrapywać ran”, lecz raczej „przypudrować je”, wydaje się jednak, że w tego rodzaju wypadkach lepiej sięgnąć do skalpela. Pragnę dodać, że p. Marta Kamańczyk, ogólnie szanowana przadka i mająca zaufania w fabryce, zamierzająca skończyć z szykanami i udać się na stałe do Niemiec. Nie przysporzy to nam, oczywiście, ani sławy, ani zaszczytu. Dalszym milczeniem spowodujemy rozbicie rodziny i wieczną zadrę w sercu.

JAN ADAMOWSKI

str. 3 **odgłosy**

OSCAR LINDAY

CESARSKI OREŻ U SZCZYTU CHWAŁY

SŁOŃCE WSCHODZĄCE NA POŁUDNIE • NA
PRZEDPOLU AUSTRALII • EKONOMICZNY
BILANS „BLITZKRIEGU”.

Po rozgromieniu floty Sprzymierzonych w bitwie morskiej pod Soerabaja, Japończycy lądowali 28 lutego równocześnie w trzech punktach Jawy. Na małych przyczółkach siły desantowe zostały szybko wzmocnione i w ciągu czterech dni osiągnęły 100 tysięcy ludzi.

Pochód przez wyspę trwał 10 dni, 9 marca w sztabie japońskim wyjęto z mapy Archipelagu Sundajskiego ostatnią chorągiewkę, oznaczającą alianckie formacje wojskowe. Tokyo uroczystie ogłosiło całkowitą podbój Holenderskich Indii Wschodnich.

W przeddzień upadku Jawy z bazy morskiej w Tjilatjap odpłynęły do Australii ostatnie okręty amerykańskie, a wraz z nimi generał Mac Arthur, niefortunny dowódca, który po raz drugi opuścił stanowisko, cofając się kilka tysięcy kilometrów. W tym czasie jego „Batańska koncepcja” psuła jeszcze krew Yamashite. Dopóki istniała jakaś taka nadzieja utrzymania Jawy, Mac Arthur czuł się jeszcze dowódcą przeciwjapońskiego frontu w Południowo-Wschodniej Azji. Teraz tracił grunt. Jak długo zdoła bronić słabo załudnionej Australii?

Szykując się do ataku na piąty kontynent — Australię, Japończycy dokonywali ostatnich „kosmetycznych” zabiegów, likwidując „białe plamki” wewnątrz swej strefy operacyjnej i oczyszczając przedpole na skrajnie południowej linii frontu. Czas, w jakim się to działo zaczęło, wymaga znowu cofnięcia się o kilka tygodni, jako że, co podkreślano było już kilkakrotnie, Japończycy działali równocześnie we wszystkich kierunkach.

Major Conelly wpadł do schronu przy lotnisku. Bezdolny gwar licznych głosów przepływał się z niedalekimi, głuchymi wybuchami bomb. Tak, nie ulegało kwestii, teraz wojna przyszła i do nich. Nawet nie czekali tak długo.

— Japi wylądowali w Kaviengi! — jakiś donośny głos przebieł się nad ogólną wrzawę.

Reakcja była natychmiastowa.

— Stul pyski!

— Skąd wiesz, idiotolo!

— Panikarzu!

A jednak nie dał się ukryć lek w tych pozornie pewnych siebie okrzykach. Cnoć tu, w Rabaul na Nowej Brytanii, oddalonej bądź co bądź tysiąc dwieście ki-

lometrów od najdalej na południe wysuniętych baz japońskich mogli się czuć bezpiecznie, to przecież wystarczyło tylko czytać gazety, aby uświadomić sobie bezmiar japońskiej groźby. Był już zresztą 23 stycznia 1942 r.

Conelly przynajmniej nie miał złudzeń. Umysł jego pracował dość logicznie, aby obserwacja dotychczas rozwijających się wydarzeń mogła pozostawić jakiegokolwiek wątpliwości co do siły i zamiarów nieprzyjaciela.

Nagle potężny wybuch wstrząsnął schronem. Kretym korytarzykiem wejściowym wdarła się ostra, drażniąca woń trotylu. Gwar umilkł. Wszyscy, jak na komendę, wstrzymali oddech.

— Major Conelly! Major Conelly!

Gęsta zawiesina kurzu wtłoczonego eksplozją przesłaniała postać nawołującego.

— Jestem! Tu jestem! — Conelly starał się nadać swemu głosowi maksimum opowiadania. Był przecież dowódcą tego garnizonu!

Znowu silna eksplozja wstrząsnęła schronem. Samoloty nieprzyjacielskie szły bardzo nisko. Słychać było ich wycie i trzask pokładowych kaemów.

— Tu pan test! — głos zgrzytał jak nie naciśnięte zawiasy. — Opuścić schron! Trzeba zarządzić opuszczenie schronu... — poprawił się. — Barki desantowe zbliżają się do brzegu!!!

Nad obroną Rabaul zawisło złe fatum. Opuszczając schrony australijski żołnierze czynili to z determinacją ludzi, którym pozostawiono tylko wybór między różnymi rodzajami i tak z góry przeznaczoną im śmiercią.

Pod osłoną dwumotorowych „Mitsubishi”, bezustannie powtarzających kursy z lotniskowców — lądowały na wybrzeżu Nowej Brytanii japońskie formacje desantowe.

Opór trwał krótko — zaledwie parę godzin. Ci, którzy ocaleli, musieli skapitulować pod morderczym ogniem nieprzyjacielskich oddziałów szturmowych. Co trzeci japoński żołnierz uzbrojony był w ręczny karabin maszynowy, pozostali w pistolety automatyczne. Siła ognia nieprzyjaciela wielokrotnie przewyższała wszelkie przewidywania instrukcji i regulaminów armii australijskiej.

Oddający się do niewoli major Conelly nie przypuszczał, że wojna skończy się dla niego w tym samym dniu, w którym się rozpoczęła.



Dymy eksplozji na lotnisku w Port Salamua na Nowej Gwinei

Strzelec Crowman szamotał się wściekle z pokrowcem enkaemu. Sylwetki sześciu japońskich maszyn idących nisko nad wodą po tętniały z sekundy na sekundę. Jęk syren alarmowych z pobliskiego portu Kieta świdrował w uszach. Crowman wyrwał bagnet i ciął ze złością oporny brezent. W ostatniej chwili dopadł do celownika i zwoinił spustem czeremchy strumienie ognia. Maszyny z hukiem przeleciały nad nim.

Obrócił natychmiast lufy o 180°. Nim zmierzyl się powtórnie, dostrzegł, jak lewy skrajny „Mitsubishi” w jednej chwili stanął w płomieniach i bezwładnie runął na ziemię. W tym momencie obserwator Duer boleśnie skrzył mu ramie i przekrzykując ryk motorów wskazał na pędzące od morza dalsze maszyny japońskie. Cała obsługa płacikiem przywarła do ziemi. Ogień broni pokładowej bombowców zbliżał się do nich równą linią wyrzucanych fontann piasku. Jak gdyby nie dostrzegali, ale potężny walec, który miazdżył na swej drodze każde życie.

Przeszedł... Crowman odczuł ostry ból w lewej nodze. Ktoś obok krzyknął głośno i zamilkł. Duer poderwał się na kolana i zakrywając dłońmi skrwawioną twarz osunął się ciężko naznak.

Crowman z trudem podpełzł do enkaemu. Próbował odwrócić lufy. Daremnie. Przed oczyma wirowały mu czerwone platy, przesłaniając piorunujące dymu gęsto wykwitające nad Kieta. Wsparty o zamek karabinu maszynowego stracił przytomność.

Ocknął się z uczuciem wściekłego bólu brzucha. Przed nim stał niski, skośnooki człowiek w dżokejskiej czapce, z wycelowanym w niego pistoletem maszynowym.

— To ty, psie śmierdzący, zestrzeliłeś samolot?

Crowman widział wyraźnie mrowie ludzkie krzątające się na plaży. Nienaganna angielszczyzna rozmowy w pierwszej chwili wprawiła go w osłupienie. Teraz zrozumiał wszystko... — To już koniec — przemknęła myśl.

— Pytam, czy to ty, smrodliwy psie, zestrzeliłeś samolot. Chcę wiedzieć z kim mam przyjemność. Rozumiesz!

— Samolot? Jaki samolot? — Crowman skupił myśli, i nagle, gdy wzrok jego zatrzymał się na spalonym wraku „Mitsubishi”, uśmiechnął się.

Usta Japończyka wydęły się pogardliwie. Naciśnął spust peemu... Uśmiech Crowmana zastąpił w śmiertelnym skurczu.

Przez ręce radiotelegrafisty w Port Moresby na Nowej Gwinei od rana 23 stycznia przechodziły dziesiątki metrów taśmy telegraficznej niosące wieść o śmierci i grozie. Atak japoński dokonany tego dnia równocześnie na Nową Irlandię, Nową Brytanię i wyspę Bugainville w Archipelagu Salomona, przyniósł nieprzyjacielowi pełny sukces. Stąd był już mały krok do Nowej Gwinei. Ta zaś otwierała wrota Australii.

Dalszy rozwój wypadków garnizonu australijskiego na Nowej Gwinei obserwowały przy akompaniamencie nieustannego warkotu bombowców japońskich.

8 marca pod silną osłoną artylerii okrętowej zajmują Japończycy Lae i Salamua na Nowej Gwinei. Dywizja australijska wycofuje się na południe, wzmacniając obronę Port Moresby.

W dwa tygodnie później Japończycy zajmują dalsze wyspy w Archipelagu Salomona: Floridę i Guadalcanal, przystępując na tej ostatniej do budowy lotniska, które ma bezpośrednio zagrozić alianckim szlakiem komunikacyjnym do Australii.

W niespełna pięć miesięcy po jej zajęciu, wyspa Guadalcanal i zbudowane na niej japońskie lotnisko stały się obszarem najdramatyczniejszych zmagania w całej kampanii na Pacyfiku. (Będzie o tym mowa w części X — „Na flance strategicznego perymetru”).

Jest 7 maja 1942 r. Sto pięćdziesiąt dzień wojny. Poprzedniego dnia skapitulował Corregidor — ostatnia „biała plamka” wewnątrz japońskiej strefy operacyjnej. Na Nowej Gwinei dywizje japońskie, łamiąc potężniejący z dnia na dzień opór Sprzymierzonych, zbliżają się do Port Moresby. Flota cesarska wypływa na Morze Koralowe, gotowa do skoku na Australię... CesarSKI oreż świeci szczyt swoich triumfów!

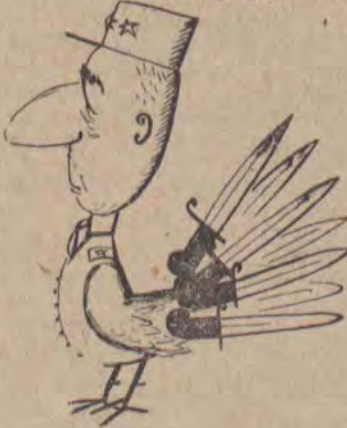
Za tydzień: Wielki błąd admirała Yamamoto

JÓZEF LEBENBAUM

Von Pappen

potem z precyzyjną dokładnością. Prawica i ultrakolonialści poszli na zdobyć władzy. Rozegrali swą stawkę energicznie korzystając z częściowego paraliżu sił postępu i lewicy. Prawica postawiła na de Gaulle'a.

Partie mieszczańskie, od kilkunastu lat formujące jeden po drugim rządy bezwładu, zajęte były swoimi własnymi problemami. Zanim podjęły walkę o uratowanie Republiki, już było za późno. Chodziło jedynie tylko o zachowanie twarzy, oddanie władzy w taki sposób, aby kiedyś w przyszłości, kie-



Kogut de Gaulle-vjsM



Oto lądowo-morski „Blitzkrieg” w całej okazałości. Zaczernione obszary znajdujące się w posiadaniu Japończyków w dniu 7 maja 1942 roku — a więc w 150 dniu wojny. Przerywaną linią oznaczono granicę japońskiej strefy wewnętrznej. Czarna plamka w prawym górnym rogu to terytorium Polski w podziale mapy głównej.

O cyganieniu CYGANÓW

Dokończenie ze str.

towa, kobieta urody nieprzeciętnej, choć nieco przygaszonej latami. Nosi strój tradycyjny; mężczyźni natomiast całkiem już ulegli wymogom mody światowej, nawet bródki przyszyły według kanonów piwniczo-egzystencjalistycznych.

Wnętrze wozu, które z okazji przybycia gości wypełniło się braćmi, bratanekami i kuzynami Czurki Lakatosza, zadaje kłam doszczętny mitowi o cygańskim brudzie. Daj Boże, żeby chaty naszych kmielci i strasznych mieszczan straszne mieszkania choć raz do roku, około Wielkiej Nocy, były równie schludne, czyste i wypięszone. W celu rozwiania setek wątpliwości dodajmy, że wizyta nasza nie była zapowiedziana.

Lody przełamać trudno. Dla Cyganów magiczne słowo „prasa” nie znaczy wiele — kilku z nich potrafi wprawdzie czytać, a nawet pisać, lecz brak im jakiegokolwiek estymy wobec „szóstego mocarstwa” i na wszelki wypadek wolą mówić mniej niż więcej. „Panowie pojadą, my zostaniemy”. Zdanie to, które niegdyś każdy dziennikarz słyszał po stokroć, jak Polska długa i szeroka, trafiło teraz do cygańskich taborów.

Pierwsza tama kruszeje dopiero przy pierwszym kieliszku (a kieliszki są kryształowe ze złoconymi brzegami), druga — przy drugim, przy trzecim trzecia, wreszcie wszystkie tamy pękają i potok mowy zalewa nas dokumentnie. Pióra nasze z trudem zanotowały, mogą jedynie sprawy najważniejsze.

... Że dość już mieli Lakatosze wędrowania z końmi od jarmarku do jarmarku, dość mieli prymitywnego życia wiecznych tułaczy, otaczanych nienawiścią i podejrzliwością...

... Że postanowili uwierzyć rządowi, który zdecydował osiedlić Cyganów i stworzyć im warunki normalnej egzystencji...

... Że jednak, gdy osiedlili się we Wrocławiu, nikomu z władz miejskich nie zniło się, by pomóc im w zbudowaniu mieszkań, fundamentu nowego życia...

... Że zatem kupili sobie obszerne wozy (40—70 tys. zł kosztował każdy), sprzedali konie i od paru lat stoją tu, na Strzegomskiej róg Legnickiej, zajmując się bieleniem kół...

... Że praca to nader intratna, zamówień mnóstwo, czasem i po kilkanaście tysięcy na miesiąc upadnie do kieszeni, a teraz szykuje się dłuższy remont w reżeni, na jakieś trzy miliony złotych...

... Że syn Lakatosza chodzi do szkoły, uczy się dobrze i zostanie „za inżyniera”, a inni pragną skończyć kursy, chcą umieć czytać i pisać...

... Że na przekór tym planom — budowlanym, oświatowym i zarobkowym — stoją szukany ze strony pewnych władz, którym jak gdyby bielmo pokryło oczy i przestąpiło ożywisty fakt, iż od powodzenia eksperymentu osiedlenia Lakatoszów zależy w dużej mierze sukces lub klęska planów stabilizacji wszystkich Cyganów w Polsce...

KOŚCI RZUCONE!

tało się. Alea iacta sunt. Zale i pretensje Cyganów, dotyczące smutnej pomyłki o postępowaniu milicji i, po części,



prokuratury, sprawdziliśmy w Komitecie Wojewódzkim PZPR... Oto garść faktów.

Dwukrotnie, w ciągu grudnia ubiegłego roku, obóz Lakatoszów — penetrowany był bez wyłegitymowania się prokuratorskim nakazem rewizji.

Nieletnią Teresę Lakatosz (lat 15) zabrano do aresztu we Wrocławiu bez okazania nakazu zatrzymania i przez 6 dni trzymano w pojedynczej celi, po czym przewieziono ją do Krakowa. O ile nam wiadomo, nieletnich nie wolno przetrzymywać w areszcie, albowiem dla tych spraw istnieje specjalny aparat, posługujący się własnym arsenalem środków zapobiegawczych i penitarnych.

Ale na tym nie koniec faktów, które pragniemy zacytować. Pewnego jesienno-dnia cztery Cyganki, które udały się na uroczystość chrzcin do obozu w Borku Fałckim w Krakowie, zostały zatrzymane pod zarzutem dokonania kradzieży. Dwie wkrótce wypuszczono, a dwie pozostają w areszcie już od sześciu miesięcy (nota bene w styczniu br. aresztowano we Wrocławiu jedną z zwolnionych Cyganki). Pozostają w areszcie sześć miesięcy, choć na te materiały zgromadzonych w prokuraturze wojewódzkiej w Krakowie można by z pewnością poddać krytyce nadmiernie przewlekłe śledztwo.

Jedną z aresztantek, Halina Lakatosz, ps. „Kali” jest w dodatku ciężko chora, o czym prokuratura została powiadomiona orzeczeniem lekarskim wydanym przez Wziewienie Centralne w Tarnowie już 9 grudnia 1957 (2 tygodnie po aresztowaniu), a następnie 25 stycznia 1958 r. (...dalszy pobyt w więzieniu może zagrażać zdro-

3. Czworo dzieci, licząc od lewej, to dzieci Reginy Lakatosz, przebywającej w areszcie w Krakowie. Wszystkie one są po trosze niedorozwinięte umysłowo (odziedziczyły to ponoć po matce). Badania psychiatryczne przeprowadzone w stosunku do aresztantki Reginy Lakatosz w szpitalu w Kobierzynie wykazały jednak, że Regina jest poczytalna i jest psychoneuropatka, symulująca objawy choroby umysłowej.

wiu”). Halina Lakatosz pozostawała jednocześnie w obozie we Wrocławiu czworo drobnych dzieci, w tym jedno kilkumiesięczne, karmione piersią. Pozbawione matki dziecko z trudem utrzymywane przy życiu, tym bardziej że rozchorowało się na gruźlicę.

Na prośbę Czurki Lakatosza, popartą przez KW PZPR i MRN we Wrocławiu, prokurator wojewódzki w Krakowie, Taedling, zgodził się za kaucją w wysokości 30 tys. złotych zwolnić obydwie aresztantki pod dozór milicyjny, polecając dokonać wpłaty w ciągu dwóch dni na konto nr 708-98-31. Wójt zebrał tę kwotę, wydając dodatkowo sześć tysięcy złotych na taksówki, którymi jeździł po całym Śląsku od znajomych do znajomych. Jego kuzyn sprzedał z wielką stratą nowego „Schaffhausena”, a Czurko „Doxe” i złoty sygnet. I oto nagle, gdy pienia-dze miało już wpłacić, prokurator miejski w Krakowie Klamerus zignorował decyzję prokuratora wojewódzkiego i postanowił zatrzymać Cyganki w areszcie. Z decyzją tą zgodził się prokurator Taedling, oświadczając, jakoby nie wszystkie okoliczności sprawy były mu dobrze znane w momencie, gdy wyrażał zgodę na złożenie kaucji. Ale czyż nie powinien się z nimi zapoznać wcześniej, nim zgodę tę wydał?

Postępowanie prokuratury wydaje się tu być sprzeczne z racjami humanitarnymi, ponieważ prośba o zwolnienie z a-

resztu za kaucją złożona była w chwili, kiedy śledztwo zostało już w zasadzie zakończone, nie zachodziła zatem obawa mactwa, a obie Cyganki posiadały stałe miejsce zamieszkania, obarczone były dziećmi, co przekreślało niebezpieczeństwo ucieczki. Czyż zatem wrocławscy Lakatosze nie mogą sądzić, że postępowanie to, jak twierdzą, odzwierciedla jakąś niechęć do Cyganów? Czy metody, o których tu pisaliśmy, nawet jeśli aresztowane Cyganki rzeczywiście dopuściły się kradzieży, nie przyczyniają się w określonym sensie do tworzenia specyficznej solidarności pomiędzy kilkudziesięcioma wrocławskimi Lakatoszami, zarabającymi na życie uczciwie, własnymi rękami, a czterema Cygankami, które nie wyzbyły się złych, złodziejskich narowów?

Czyż nie wzmaga to rozgorzczenia Lakatoszów? Czyż nie utrudnia to procesowi krystalizowania się innego, osiadłego ośrodka Cyganów, żyjących uczciwie, który mógłby się stać przykładem dla innych koczowników. Marzy o tym Czurko Lakatosz, który „za zdradę ideałów cygańskich” dostał już raz od swych pobratymców klonkającą po głowie.

Dodajmy jeszcze jedno. Oto w styczniu aresztowano w obozie Lakatoszów jeszcze dwie Cyganki (jedną, jak już wspominaliśmy, była aresztowana przedtem w Krakowie), przy czym również, jak poprzednio, nie okazano nakazu aresztowania, a na wyraźne sformułowane żądanie od strony wójta Czurki Lakatosza — odpowiedziano mu jedynie niewybrednymi pogróżkami.

INWOKACJA KOŃCOWA

Przechodniu! Jeśli wędrując wrocławskimi ulicami dotrzesz do miejsca, gdzie stoją smutne cygańskie wozy, pomnij: — żyją w nich nie prymitywni ludzie, nie brunatnokożcy koczownicy, lecz pracowity i spokojny ród z plemienia Lowari, który ma dość tradycyjnego życia, i mimo nawrotów kilku niepoprawnych Cyganów do dawnych praktyk, chce żyć jak reszta naszego społeczeństwa.

ANDRZEJ BIŃKOWSKI
WOJCIECH GIELŻYŃSKI

POSŁOWIE REDAKCJI

Sprawa, o której piszemy, jest przykra. Nie chodzi nam o atakowanie tzw. „biedów i wypaczeń”, które mogą się jeszcze pojawiać na marginesie ogólnej poprawy stosunków w kraju. Idzie o rzecz ważniejszą. Takie drobne z pozoru wypaczenia podniecają nietolerancję, stają się często powodem wzmożenia szowinizmu, podziału obywateli na lepszych i gorszych — Polaków, Cyganów, Żydów, Niemców itd. W trosce o to, aby tak nie było, drukujemy ten reportaż.

str.
5

odgłosy

i... Pflimlin

dy być może trzeba będzie złożyć rachunek ze swych czynów, można było oświadczyć — uczyniliśmy to pod przymusem, innego wyjścia nie było. Chodziło również o oddanie władzy w taki sposób, by nie doszło do wstrząsu, by wahaniem i niepewnością sparaliżować masę narodu francuskiego, który z jednej strony ma dość rządów bezwładu, ale z drugiej strony boi się dyktatury. Oddanie władzy bez wstrząsów dlatego, że mogłaby na tym zyskać Francuska Partia Komunistyczna... — jedyny zdecydowany o-brońca IV Republiki.

Diugoletnia gra polityczna nauczyła mieszczańskich polityków zręczności. Nie można jej odmówić ostatniemu premierowi Francji Pflimlinowi, który tak skonstruował ustawę o stanie wyjątkowym, że z jednej strony paraliżowała ona pozaparlamentarne siły obronne Republiki, a z drugiej strony uderzała w komunistów. Jak dotąd ustawa o stanie wyjątkowym, która w oczach społeczeństwa francuskiego miała działać przeciwko próbom zamachu Stanu doprowadziła do konfiskaty kilku numerów L'Humanite nawołujących do działania na rzecz Republiki.

Następne posunięcie Pflimlina już bezpośrednio utworowało de Gaulle-owi drogę do podjęcia władzy. Otóż

Pflimlin poddając pod głosowanie Parlamentu ustawę o zmianie konstytucji zastrzegł, iż nie będzie liczył głosów deputowanych komunistycznych. Pflimlin dobrze wiedział, że około 200 deputowanych opowiadających się za de Gaulle'em nie poprze projektu. Wiedział on więc z góry, że z chwilą kiedy nie weźmie pod uwagę głosów komunistycznych jego rząd upadnie, żaden inny zaś również nie zdobędzie wymaganej większości. W takiej sytuacji prezydent Republiki René Coty również zachowuje czystą twarz. Nowy rząd musi powstać. René Coty korzystając ze specjalnych uprawnień musi rozpuścić starania o powołanie rządu porządkowego. Rozpoczyna się konsultacja z generałem de Gaulle. Jednocześnie ultrapravica grozi w dalszym ciągu zamachem stanu, a mieszczańscy obrońcy Republiki mają do wyboru front ludowy z udziałem komunistów albo dyktatorską władzę de Gaulle'a. W rezultacie opowiadają się coraz częściej za generałem.

Mechanizm działa z nadzwyczajną precyzją. Jak w obliczu tego dobrze naoliwionego mechanizmu zachowuje się Komunistyczna Partia Francji? KPP wzywa do strajku generalnego. Wzywa do tworzenia w całej Francji komitetów o-

brony Republiki, wzywa do masowych manifestacji na ulicach Paryża. Socjalistyczne i chrześcijańskie Związki Zawodowe odmawiają udziału w strajku. Strajk generalny w dużej mierze nie udaje się. Strajkują robotnicy wielkich fabryk samochodów, 70 proc. górników okręgu Nord, część kolejarzy, pracownicy metra i pocztowcy. Ale manifestacje nie były tak masowe jak się spodziewano. Dało o sobie znać paraliżujące działanie mieszczańskich partii socjalistów oraz bierność dużej części francuskiego społeczeństwa. Bierność wytworzona przez długie lata rządów bezwładu. Wszystko to stworzyło niezbyt podatny klimat dla hasła strajku generalnego.

Oto mechanizm działania sił politycznych czwartej Republiki. Z pozoru podobny do tego mechanizmu, który przed 25 laty w Niemczech umożliwił objęcie władzy przez Hitlera. Analogia jest niemal pełna. Słabość rządów weimarskich, zdecydowanie prawicy, mąż opatrności — Hitler, zakłamanie i fałsz partii mieszczańskich, niezadowolonych z czynu, oportunizm i wręcz zdrada socjaldemokratów bojących się bardziej sojuszu z komunistami niż faszyzmu. A dalej — silna partia komunistyczna, dysponująca tak jak i we Francji 6 mln. głosów, osamotniona w walce. Bierność dużej części społeczeństwa, co doprowadza do częściowego flakasu strajku generalnego. Sceneria polityczna, mechanizm działania podobny, ale, oczywiście de Gaulle nie jest Hitlerem, a rok 1958 to nie rok 1933. Lecz tego rodzaju analo-





Ostatnio nakładem Wydawnictwa Łódzkiego ukazał się mój zbiorek pt. „Na krawędzi czasu”.

Wiersze pisuję i trochę drukuję od ładnych paru lat.

Co chcę wyrazić w poezji? Przede wszystkim ludzkie wzruszenia, nawet tak nieuchwytnie, że, jak sądzę, wyrazić je może jedynie poezja.

Poza pisaniem wierszy i zainteresowaniami historycznymi pasjonuję się fotografią. Uprawiam zwłaszcza zdjęcia rodzajowe — chwytanie życia „na gorąco” w jego różnorodności i pięknie.

U brzegu nocy stoisz smukła jak płomień
i w mroku świecą twoje białe dłonie.

A nad tobą krążą gwiazdy
i otwierają się ramiona przestrzeni.

Idziemy ku tobie wlokąc za sobą ciężkie cienie
i nazywamy ciebie Muzą, poezją i milczeniem.

Biegniemy ku tobie od wichru i blasku mrużąc oczy.
A zamiast do ciebie przybiegamy na skraj nocy

NA CZARNYCH KOLUMNACH

Na czarnych kolumnach nocy
wspartych o twoje kolana
układałem kwadraty mroku
a na nich cekiny gwiazd
jak architekt budowałem bryły z czerni
aż do punktu w którym zaginął się czas
czarne kwiaty wykwitłe z twoich dłoni
lekkie jak pajęczyny
oplatywały orbity wirujących planet
odbici od ziemi
drwiąc z praw ciążenia
zwiedzaliśmy korytarze czarnego snu
— lęk dziecka w ciemnym pokoju
a wokół nas huczał ciemny i nieludzki
ocean strasznego czasu

MARS

Wszechświat jest kulą bez ścian
otwartą na przestrzał
i dlatego każdy z bogów ma do niego wstęp

Śpi Ziemia w kolderce z chmur
niemowlę wykolysane przez Słońce
najczulszą z gwiazd

niepewnie stawia kroki
poruszając się po swej orbicie

nocą słysząc Ziemi gaworzenie
i wtedy Wenus nachyla się nad nią
a Mars gładzi swój sumiasty wąs

Mówi

poczekaj poczekaj dam ci do zabawy
jedną a może dwie obręcze Saturna
Pocziwy Mars nie wie
że na Ziemi jest uważany
za boga wojny
nieszczęścia i pożogi

NORWIDA MIŁOŚĆ



to przykład poety, który całe życie pisał do szuflady. Nie dlatego, żeby nie chciał publikować, jak to było w przypadku obrażonego na krytykę i społeczeństwo Fredy w drugiej połowie jego życia, ale dlatego, że utworów jego nie rozumiano, nie uznawano, brano je za uparte maniactwo i drukować nie chciało. Niektórzy dzisiaj sądzą, że gdyby Norwid publikował swoje utwory, a nie składał je z konieczności do szuflady, byłby pisał mniej enigmatycznie i bardziej komunikatywnie. Ja jednak sądzę, że istotnie styl to człowiek i że wobec tego jego pozornie zawily i niezrozumiałe sposoby pisania pozostały ten sam. Zresztą piśmiennictwo Norwida formalnie wcale nie jest bardziej trudne i wieloznaczne, niż piśmiennictwo dajmy na to późniejszych od niego autorów takich, jak Paul Valery, Guillaume Apollinaire lub Thomas Stearns Eliot, tylko, że... bardziej nowoczesne, jeśli za wyznaczniki nowoczesności uznamy w piśmiennictwie nowość stawianych problemów i nowość artystycznej ich ewolucji.

O prekursorstwie Norwida pisało wiele. Ale ciągle tylko analitycznie i ciągle jeszcze za mało. Wskazywano na wyprzedzające swoją epokę pewne elementy w jego twórczości, nikt jak dotąd nie pokusił się jeszcze na próbę syntezy. A prekursorstwo Norwida tkwi właśnie w ogólnej, zasadniczej postawie jego i w stosunku do zagadnienia słowa jako treści i formy, podstawowej antynomii tworzącej literackiego. O tym nieco szerzej w następnym artykule.

Teraz chciałbym zwrócić uwagę na pewne powiązania twórczości Norwida z jego życiem osobistym, co nie było bez wpływu na jej charakter. Dnia 23 maja br. minęła 75 rocznica śmierci Norwida. Urodził się w roku 1821, pierwsze utwory zaczął ogłaszać w roku 1840, a w roku 1842 udał się na studia malarstwa i rzeźby zagranicę, skąd już nigdy do kraju nie wrócił. Studiował początkowo w Monachium, a potem we Florencji i w Rzymie.



mie, gdzie w roku 1845 zakochał się nieszczerze w głosnej kosmopolitycznej kurtynie. Marii Kalergis, oczywiście bez wzajemności. Odtąd przez kilka lat walczył się za nią jak cień za słoniem, aż wreszcie w roku 1849 osiągnął w Paryżu, wędząc marząc, ludzkie i cierpiące z powodu tej beznadziejnej jednostronnej miłości. Wprawdzie w późniejszych latach oświadczył się jeszcze Marii Trebickiej, Zofii Węgierskiej i Marii Sadowskiej, ale były

to tylko rozpaczliwe gesty, usiłujące złudnym pozorem zastąpić okrutną rzeczywistość. Jedyną calościową miłością Norwida pozostała „kochanka pierwszych jego dni”. Obiekty późniejszych jego oświadczeń doskonale to wyczuwały swą niezawodną w takich wypadkach intuicją kobiecą — i odmawiały wiązania swego losu z lo-



sem Norwida. A los ten z biegiem lat stawał się coraz bardziej tragiczny.

Podwójnie tragiczny. Przez kontrast jego nadziei w stosunku do tego, co mu przynosiło życie. Im bardziej Maria Kalergis była dla niego obojętna, tym więcej stawiała się jedyną obsesją jego serca. Im bardziej jego twórczość literacka i plastyczna była obojętna ówczesnej publiczności na emigracji i w kraju, tym więcej stawała się jedyną pasją jego życia. Ten nieszczerły spłót, prawdziwy węzeł gordyjski zawiązań sercowych, literackich i życiowych sprawił, że w grudniu roku 1852 autor usiłował uciec „od tego wszystkiego”, tzn. od siebie i od Europy „na kraj świata”, czyli w całkowite mu obce dotąd środowisko — do Stanów Zjednoczonych, skąd po półtorarocznym pobycie wrócił przez Londyn (gdzie zatrzymał się na kilka miesięcy) do Paryża. Nawet ten swoisty gest protestu Norwida także jest prekursorstwem w stosunku do podobnych w motywacji ucieczek na okraje ówczesnej cywilizacji europejskiej: Rimbauda do Abisnii, a Gauguina na wyspy Oceanii.

W listach swoich ówczesnych podaje Norwid literackie powody tej swojej ucieczki do Ameryki, ale w wierszach mówi o jej powodach sercowych. Warto przytoczyć tu te wstrząsające strofy, w których jak pod szkiełkiem powiększającym rysuje się cały subtelny i zarazem złożony mechanizm jego oświecającego wynalazczością artysty, karmionego wieloraką treścią życiową i, że tak powiem, przetapianego w tygłu natchnienia do niepoznaki, tzn. do pozłomu formy doskonale zobjektywizowanej:

„Nie bluźń, że mianem Cię
lub jeszcze ranię,
Bom Ci ustąpił na mil sześć
tysięcy
I pochowałem żył me
w Oceanie
Na pereł więcej...”

To o Marii Kalergis mowa. Przestał się jej naprzykrzać swoją obecnością, ustąpił jej „na mil sześć tysięcy”, tzn. na odległość

Oceanu Atlantyckiego i „pochował żył swoje w Oceanie na pereł więcej” — na jej szyję. Każdy odpalony wielbiciel, to oczywiście tryumfalne trofeum pięknej kobiety, jego żył to najpiękniejsze pereł wśród jej klejnotów — co za subtelna ironia w tej tak prostej przenośni Norwida. Tak nie pisało dotychczas wierszy miłosnych Norwid dał tutaj nowy typ wiersza erotycznego, w którym żył, to już nie krople wody, żenująco cjurkające z oczu zawiedzionych kochanków, ale zobjektywizowane elementy artystyczne, wyrażające ironię i osąd przedmiotu adoracji. Norwid nie wstydił się leż, wiele o nich mówił, ale zawsze grając one w jego wierszach rolę nieuniknionych elementów konstrukcji artystycznej:

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

Przeciwko



Wzbyczy mi Szanowna Redakcja „Odgłosów”, że poruszam temat może porażliwy. Drażliwy dlatego, iż to co napiszę mógłby ten czy ów uznać za wprowadzenie nie za „szarganie świętości”, ale bądź co bądź za podrywanie autorytetu P.T. Prasy i podważenia wiary w absolutną prawdziwość drukowanego słowa. Ale niech tam! Nagromadziło się we mnie tyle złej krwi, żółci i niesmaku, że muszę to wreszcie jakoś wyładować.

Chodzi mi — mówiąc bez osłonek — o bzdurę informacyjną, która, niestety, zbyt często panoszy się na łamach naszej prasy, a zwłaszcza pism codziennych. By uniknąć zarzutu gołosłowności, pozwolę sobie przytoczyć kilka przykładów — z gatunku, że tak powiem, „wyborowych”. Pewien dziennikarz, odbywając modne dla wojażerów zagraniczne odkryty w Jugosławii język... jugosłowiański — i nawet się nie zająknął podając czytelnikom tę rewelację. Ktoś inny podał z dumą do wiadomości publicznej, że przetłumaczył jakąś nowelkę „z amerykańskiego”. Jeśli dalej trwać będą te sensacje lingwinistyczne, dowiem się zapewne niebawem o istnieniu języka belgijskiego, szwajcarskiego, syberyjskiego, argentyńskiego i kilku innych.

Do Jugosławii jeżdżą nie tylko dziennikarze — lingwiści, lecz również poszukiwacze innego rodzaju curiosów. Jeden z tych korespondentów prasowych zwiedził w pewnej miejscowości jugosłowiańskiej cerkiew — mauzoleum i dowiedział się przy tym, że „Koszt jej budowy wyniósł ni mniej ni więcej tylko pół miliona dolarów”. Zakładając, że jako materiałów budowlanych

„Cyprusy mówią, że to dla Julietty, Ze dla Romea i za ta znad planety Spada i groby przecieka... A ludzie mówią i mówią uczenie, Ze to nie żył są, ale że kamienie I że nikt na nie nie czeka”.

Tuż przed wyjazdem do Ameryki Norwid, aby zarobić na życie, był zmuszony pracować jako robotnik w jednej z fabryk na Montmartrze, a potem jako drwal w lasach Fontainebleau pod Paryżem. W Nowym Jorku też zresztą pracował jako robotnik. A przecież był już autorem kilkudziesięciu wspaniałych liryków, trzech nowatorskich utworów dramatycznych „Wanda”, „Kra-kus” i „Zwolon” oraz nowego typu poematu dyskursywno-filozoficznego „Pro-

nach nie używano w danym razie złota i brylantów, wypada stwierdzić, że za pół miliona (500 milionów) dolarów można by wybudować i zagospodarować wcale nie liche miasteczko... Trzeba jednak mieć, przy pisaniu korespondencji, jakieś takie poczucie rzeczywistości i elementarną wiedzę o świecie współczesnym.

Ala nie koniec na tym. W tej korespondencji dowiadujemy się, że fundatorem wspomnianej cerkwi był „król Piotr, który zginął w Paryżu, w czasie zamachu w 1934 r.”. Co krok to bzdura! Król Piotr nie zginął w czasie zamachu w Paryżu, w 1934 r. — lecz umarł w swoim kraju już w r. 1921. A wskutek zamachu chorwackiego faszysty zginął w Marsylii (a nie w Paryżu w r. 1934) następca Piotra — Król Jugosławii Aleksander I, zaś wraz z nim został zamordowany francuski minister spraw zagranicznych — Barthou. To się nazywa „słyszeć dzwon, a nie wiedzieć, gdzie bije on”.

Pewna sprawozdawczyni sejmowa, zdając relację z wystąpienia jakiegoś posła, napisała tak: „Parafrazując stare polskie powiedzenie, można rzec: „Z kogo się pan śmieje, z siebie samego się pan śmieje”. Nie, taskawa pani, to nie tak. Oryginalny cytat: „Z czego się śmieje, z siebie samych się śmieje!” — nie jest żadnym „starym polskim powiedzeniem”; są to słowa Horodniczego z finałowej sceny „Rewizora”, którego autorem jest niejaki Mikołaj Gogol. Był on Ukraincem z pochodzenia, a więc synem bratniego narodu, ale staropolskich powiedzeń nie fabrykował.

Oto parę przykładów tego, co nazywano niegdyś „kwiatkami z oślej łaki”. Te kwiatki rosną u nas w ta-

CZEKAJĄ NA NASZE PRZYJŚCIE

Czekają na nasze przyjście zwoje filmowych taśm
odnajdujemy się co dzień na szpaltach wszystkich
dzienników
na tysiącu ekranów telewizyjnych i tyluż kin
i megafony ryczą w dzień i przez całą noc
w tysiącu luster widzimy własną lecz obcą twarz
już nawet cieni nie mamy
ukradły nam je błyski elektronowych słońc
w sen też nie mamy ucieczki — tam czeka chytry
staruszek Freud

Przenikając świat sami przez świat przenikani
w smudze światła stoimy ciężko wsparci o mrok

NOC OŚLEPIONA

Po konarach dębu biegłem — jak płomień — wiewiórką.
Wśród trawy podkradałem się zieloną jaszczurką.
Złotą pszczołą długo krążyłem.
Byłem strofą wiersza i skrzypiec muzyką.
To ja dla ciebie w „Carmen” śpiewałem
pieśń torreadora.
Byłem księżyce i długo, długo
patrzałem w twoje okno
po to,
aby spotkać twoje oczy sarnie,
w których przegląda się noc
wojną oślepioną

I L Z Y

methidion", przynoszącego nowe idee uprządkowania sztuki i, że tak powiem, u-artystycznienia pracy: program wyzwolenia artystycznego, jako wstępnego warunku koordynacji sił społecznych i w konsekwencji odzyskania niepodległości politycznej. Ale nikt tego nie czytał. Dlaczego?

Idee, które w nich głosił i formy, w jakich je wywodził, były przedwczesne. Był prekursorem i dzielił los wszystkich prekursorów. Nie został spalony na stosie tylko dlatego, że już wtedy stosów nie stosowano. Ale stosowano stokroć gorszą torturę: przemilczenie, wyobcowanie, skazanie na zapomnienie. Norwid wiedział o tym. Pisał w jednym z listów z roku 1861: „Sprawiedliwość każe mi to przyznać, mnie, który dzisiejszej Polski obywatелеm nie

jestem, tylko trochę nie przekuła na wartość o przeszłej i dużo przyszłej”.

Złożyły się jeszcze na to niezrozumienie Norwida, prócz tej przedwczesności jego dzieł, i inne także przyczyny. Mickiewicz przybył na emigrację jako już głośny w kraju i na całym wschodzie Europy autor „Grażyny”, „Konrada Wallenroda”, „Sonetów Krymskich” i przede wszystkim trzeciej części „Dziadów”, jako bard nieśmiertelnej ojczyzny i męczennik sprawy narodowej. Słowacki jako autor hymnów powstańczych i wyśiannik warszawskich sił konspiracyjnych. A Norwid jako kto? Jako nie znany nikomu, zapamiętały i trochę przez to śmieszny adorator sławnej salonowej kociicy! I to w czasie, kiedy sława tamtych już rozbrzmiewała w całej pełni i każde nowe nazwisko w blasku ich sławy musiało niknąć i miać niespostrzeżenie.

Ale Norwid nie byłby Norwidem, gdyby osobiste doświadczenia, choćby nawet tak niefortunne,

nie przekuła na wartość o biektywną:

„Jak dziki zwierzę przyszło
Nieszczęście do człowieka.
I zatopiło weń fatalne
oczyszczenie...
— Czeka —
Czy człowiek zboczy?
Lecz on odejrzal mu, jak
artysta
Mierzy swojego kształt
modelu,
I spostrzegło się, że on
patrzy, co skorzysta
Na swym nieprzyjacielu?”

Norwid na swym nieszczęściu skorzystał w ten sposób, że miłość, która go tak fatalnie osobiście doświadczyła, zaawansuje w swojej obiektywizacji do zasadniczego składnika jego kanonu estetycznego i podstawowego czynnika jego filozofii życiowej: „Kształtem miłości piękno jest — i tyle”. A „piękno na to jest, by zachwycalo do pracy — praca, by się zmartwychwstało”. Z czego? Z marazmu osobistego, społecznego, narodowego, politycznego! Bo „wszelka inna miłość bez wcielenia jest upiorem myśleniem myślenia”. Stąd „pieśń a prak-

tyczność — to jedno”. Jako nakaz moralny i społeczny. Twórczość Norwida, jego sztuka, jest praktyczna z założenia, to znaczy ma charakter świadome niekontemplacyjny, lecz charakter testamentu przyszłych czynów, zarysu konkretnego przekształcania życia i jego norm. Miłość i lzy Norwida, to doświadczenia, z których płyną praktyczne wnioski życiowe, dotyczące twórczego, czynnego stosunku do świata, a nie są tylko refleksyjnym ozdobiakiem czczych wierszy nastrojowych, nie obowiązujących do niczego, prócz żalosnego westchnienia nad własną niedolą:

„Kto kocha — widzieć
chce oczyma w oczy,
Czuć choćby powiew
jedwabnych warkoczy.
Kto kocha, temu małe
ogromnie,
I lada promyk zolbrzymia
nadzieje,
Upiorowego nie dość mu
myślenia,
Chce — w apostołstwo, w
czyn, w dzieło — wcielenia,
Bohater — w dzieło
wielkie lub w Ojczyznę...”



W połowie czerwca przybędzie do Łodzi z wizytą teatr włoski „Piccolo della Città di Milano”

bzdurze

kiej obfitości, że np. warszawska „Trybuna Literacka” prowadzi specjalną rubrykę, w której rejestruje rozmaite informacyjne bzdury. Oczywiście, rejestruje tylko najprędniejsze specjalne i delikatne, bowiem gdyby chciała tam zamieszczać wszystko, trzeba by objętość pisma powiększyć co najmniej dwukrotnie albo nadać mu nowe rozmiary, tzw. „wołowej skóry”. Bo przecież są i tacy, co potrafią np. przechrzcić Fryderyka Chopina na Ferdynando a Fryderyka Shillera — na Franciszka, albo też zamiast daty — odkrycia Ameryki podać rok bitwy grunwaldzkiej, Pomieszczać imiona i nazwiska, daty i cytaty, fakty i zdarzenia historyczne — to dla niektórych istna frazga i bagatelka.

Rozumiem, w pracy dziennikarskiej poślizgnąć się może niekiedy nawet najlepsze pióro, bowiem pośpiech, nieuwaga, rozluznienie, zmęczenie nie są przyjaciółmi pisarza. W parę lat po wojnie zdarzyło się jakoś, że pewien znany krytyk literacki pisał o Sienkiewicz, pomieszczał Skrzetuskiego z Wołodyjowskim. Była z tego kupa śmiechu — i na tym się skończyło. Ale to, co może być zabawne jako żart-wisko wyjątkowe, staje się czymś ponurym i niepokojącym, gdy przybiera cechy powszedniości.

Czytelnik dziennika lub czasopisma ma święte prawo otrzymywać — za swoje pieniądze — informacje rzetelne i ścisłe, a nie jakieś bajki z repertuaru Münchhausena w nieistniejących językach, fantastycznych budowach, literackich pseudorewelacjach itp. Jeśli własne siły i kwalifikacje autorów różnych artykułów, sprawozdań, korespondencji niekiedy zawodzą, dlaczego nie ingerują w porę i skutecznie właściwe czynniki nadzoru? A przecież nie brak ich w redakcjach czasopism. Kierownicy działów, sekretarze odpowiedzialni, zastępcy redaktora naczelnego i „sami” redaktorzy naczelnicy — gdzie się podziwa cały ten sztab redakcyjny wtedy, gdy jego interwencja przeciwko bzdurze informacyjnej staje się niewątpliwie konieczna? Nie składamy w takich razach winy na barki korektorów. Ich praca ma — jak wiadomo — charakter techniczny, nie podaliśmy pełnego imienia, zaś pieczę nad merytoryczną stroną tekstów do ci pt. „O komarze i orkide-kogo innego należy.

Czy nie byłoby rzeczą pożyteczną i rozsądną ogłosić kiryki.

w Dniach Oświaty. Książki i Prasy powszechna mobilizację przeciwko drukowanej bzdurze? Czy nie byłoby słuszną i pożądaną, właśnie w tych dniach, przystąpić do generalnego oczyszczania łamów naszej prasy z informacyjnych fałszów, nonsensów, absurdów, powodujących do co jest w istocie dezinformacją i dezorientacją? Z tą akcją można by połączyć — choć to już inna dziedzina — sprawę czystości i poprawności języka, zachwaszczonego do obrzydliwości różnymi „wytypowaniami”, „rozpracowaniami”, „waccharzami asortymentów” i licho wie jakimi jeszcze „pięknościami”.

Rzucam myśl chyba nie najgorszą — i mam nadzieję, że ten mój apel nie padnie w próżnię, nie pozostanie głosem wołającego na puszczy, lecz będzie podjęty przez wszystkich powołanych, do których należą przede wszystkim członkowie Stow. Dziennikarzy i Zw. Literatów Polskich, Panowie, koledzy, towarzysze i obywatele, tak dalej być nie może! Pośpiech — pośpiechem, zmęczenie zmęczeniem, brak źródeł encyklopedycznych — brakiem bardzo dotkliwym, lecz — mimo to wszystko — rzetelność i poczucie odpowiedzialności w pracy informacyjnej nie mogą być w żadnym razie lekceważone i traktowane jak dokuczliwy balast, albowiem właśnie takie lekceważenie najbardziej podrywa autorytet prasy i podważa wiary w wartość podawanych przez nią informacji.



OD REDAKCJI

W numerze 14 „Odgłosów” nie podaliśmy pełnego imienia autora wiersza dla dzie-rzeczna stroną tekstów do ci pt. „O komarze i orkide-kogo innego należy.

Rozprawa Sądu Stanowego, jaka odbyła się 18 kwietnia br. w Waszyngtonie na pewno przejdzie do historii literatury światowej. Na ławie oskarżonych zasiadł 72-letni poeta Ezra Loomis Pound, nie ogołony, w rozchelatanej koszuli, drelichowych roboczych spodniach i starym płaszczu narzuconym na ramiona. Biegły psychiatra zapewnił sąd, że oskarżony według wszelkiego prawdopodobieństwa pozostanie niepozbawiony do końca życia. Po tym oświadczeniu obrona poety wniosła o umorzenie postępowania karnego i przywrócenie Poundowi wolności. Sąd przychylił się do wniosku i poeta po 12-letnim przymusowym pobycie w więziennym szpitalu psychiatrycznym opuścił salę sądu już jako wolny człowiek. Liczne zebrany dziennikarzom oświadczył, że zamierza niezwłocznie wyjechać do Włoch — do swej ojczyzny „z wyboru”.

Sprawa Pounda — pisarza, który zrewolucjonizował współczesną lirykę poety o olbrzymim dorobku, tłumacza Homera i Konfucjusza, Villona i Heinego, przyjaciela i wydawcy Yeatsa, Joyce’a i Eliota, nauczyciela i odkrywcę Hemingway’a — sprawa, w której akt oskarżenia nosi datę 26 lipca 1943 roku, stawała się z każdym rokiem coraz bardziej kłopotliwa dla amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości. Pound, kandydat do nagrody Nobla, powszechnie uznana wielkość w świecie literackim, nie mógł być trzymany aż do śmierci w więziennym szpitalu. Pound musiał odzyskać wolność. Świadectwo biegłego — psychiatry dawało temu wygodny pretekst.

W czasie minionej wojny Ezra Pound był fanatycznym kolaborantem. Skłócony z własnym społeczeństwem, dostrzegając w amerykańskim stylu życia tylko przyzwany — z dziecinna naiwnością zaufał Mussolinimu i dał się wykorzystywać do celów faszystowskiej propagandy. Urok Włoch — które Pound od 1924 roku uznał za swą „ojczyznę z wyboru” — pasja badacza kultury antycznej przysłoniły mu aktualną, ponurą rzeczywistość faszystów.

Pound dopatrzył się w niektórych instytucjach włoskiego faszystów — a szczególnie w demagogicznej teorii o wolnym obiegu pieniądza podporządkowanym interesom narodowym — antytezy amerykańskiego systemu bankowego. A wrogość do tego systemu była w życiu Pounda ideą, której podporządkował wszystko, nawet swą poetycką twórczość. Pozorne zbieżności między faszystwem a własnymi poglądami, choć nie znajdujące potwierdzenia w

życiu, starczyły poecie, by uczynić zeń fanatycznego wielbiciela Mussoliniego. W 1938 roku w czasie pobytu w Stanach Pound raz jeszcze zadziwił otwarcie głoszonymi poglądami, że tylko Duce może uchronić ludzkość od wojny, do której prą amerykańskie banki. Gdy wybuchła wojna, Pound chciał wrócić do Stanów, lecz ambasada w Rzymie uczyniła wszystko, by mu to uniemożliwić.

Wkrótce potem zaczął występować we włoskim radio, by przez całą wojnę, z uporem maniaka, nie dostrzegając zbrodni państw osi, agitować żołnierzy amerykańskich na rzecz faszystów. Po lądowaniu wojsk sojuszniczych we Włoszech Pound zgłosił się do pierwszej napotkanej amerykańskiej jednostki wojskowej i został natychmiast aresztowany. Los Amerykanów współpracujących z propagandą państw osi był wówczas przypiętowany. Dziennikarze Best i Chandler podobnie jak i publicysta Joyce zapłacili za zdradę stanu życiem lub wyrokami dożywotnich ciężkich robót. Wyrok śmierci w sprawie Pounda wydawał się nieunikniony. Chwilowo jednak poeta został przywieziony do Pizy, gdzie — co już dziś wydaje się nam aż nieprawdopodobne — zamknięto go w żelaznej klatce, niczym goryla w ogrodzie zoologicznym i wystawiono na pokaz publiczny. Przez wiele tygodni poeta cierpiał potworne męki narażony na brutalność tłumy i mordercze działania klimatu. Wreszcie załamał się i w stanie zupełnej psychicznej prostracji został w listopadzie 1945 przewieziony do Waszyngtonu. Tu roz-

poczęła się walka o jego życie.

Dla przyjaciół i wielbicieli talentu Pounda było bowiem oczywiste, że poeta od lat cierpi na manię przesławczą, która coraz bardziej się zaostrzała. Psychiczne załamanie, w jakie popadł Pound po strasznym dla niego okresie przebywania w Pizie, a również niezwykłe jego poglądy z których nigdy nie zrezygnował, wszystko to sprawiło, że psychiatrzy zgodzili się skierować poeę do szpitala więziennego na obserwację. Jeśli w tym czasie doszło do

niemal wszyscy współcześni poeci amerykańscy. W roku 1934 wysunął kandydaturę Pounda do nagrody Nobla. Wprawdzie przyznano ją wówczas Hemingwayowi, ale dało to pretekst do nowych petycji o uwolnienie poety.

A Pound z mroźną pracowitością w ciągu tych lat kontynuował w celi więziennych swe wielkie dzieło. W traktacie poetyckim, podzielonym na dziesiątki pieśni (napisał ich już przeszło 90, a zapowiada, iż traktat będzie zawierał przeszło 110) przedstawił swą wizję świata. Skłócony ze współczesnością, rozkochany w przeszłości, znawca i tłumacz klasyków stworzył własną teorię poezji i swój własny system filozoficzny, zagmatwany i pełen sprzeczności. Siłą talentu sprawił jednak, iż twórczość jego ma dla współczesnej poezji amerykańskiej tak wielkie znaczenie, iż — jak powiedział Hemingway — poetom naszej epoki, na których Pound nie wywarł wpływu należy tylko współczuć.

Obecnie, po 12 latach więzienia, Pound odzyskał wolność. Zawsze skłócony ze społeczeństwem, od 50 lat piszący wraz z wierszami pamphlety na Amerykę, poeta został uznany za niepozbawionego. Tak oto sąd amerykański uchylił się od odpowiedzialności na drastyczne pytanie — czy genialny poeta ma prawo do politycznego błędu? Sąd zawałał się jednak i przed wydaniem wyroku skazującego poeę.

Winy Pounda nikt zresztą nie kwestionuje. Hemingway pisał o tym — „Pound popełnił ciężkie błędy, zdradził swój kraj. Ale już przecie zapłacił za to cenę straszliwą”.

Jednak miara geniuszu Pounda jest to, że przyszedł pokolenia czytając jego Pisan Cantos — Pieśni Wzięzione — nie będą zapewne pamiętały o politycznych błędach poety — a ujrzą przede wszystkim wstrząsający obraz starca zamkniętego jak zwierzę w żelaznej klatce — obraz zaiste godny czasów pogardy.

S. MICHAŁOWSKI



str. 7 **odgłosy**

KUREK NA KOŚCIELE

Takim kolarzom to dobrze. Cel mają wytknięty, drogę zarzysowaną jasno, medale na każdym etapie, tylko kręcić pedałami ku chwale i na pożytek. A ty, nieszczęśliwy malarzu czy poecie, martw się o SZTUKĘ, o idee i postępek, o komunikatywność i zaangażowanie społeczne. Jeśli zaś wyskoczysz parę metrów do przodu, natychmiast setka życzliwych rodaków przytrzyma cię za pęty. Alboż nie jesteśmy Europejczykami?

Kupa, moi panowie z kurkowego bractwa, do korda! Białda pręconym w kramie między Bałtykiem a Karpatami. Jedyny pewny i niezawodny wskaźnik nowych prądów — kurek na kościele — znowu się jak pies za własnym ogonem. Uff, co za ułga!

Swoją drogą, żał mi najmłodszego pokolenia artystów: hamletowską przeżywa zgrzyotę. Bo jakże, w samym pnie Paryżu odrabiano i zarys co teżże u nas młodzi huzia na wszelkie taszyzmy, „noninformacje” i — jak je tam zwą — elagoty z epoki stu kwiatów. O! i przykrość. Czy warto w tej sytuacji zostawiać abstrakcjonizm?

Wprawdzie rodzimi nasi artyści wciąż jeszcze paradują dumnie w splendorze niezrozumienia, wprawdzie zrzyszają się zapamiętani w modzie (wiadomo, prowincja) amatorzy nowoczesności, niech tam — świadomi i dobitni już tylko kiwają głowami, a bardziej zadziwieni Sarmaci biorą się za łby. Podobno zresztą szukają tam robaków. Robak — rzecz niby drobna, aleś rybka na złowić przyjemnie.

Ala wróćmy do naszych baranów. (Uwaga: to, brzo Boże, nie aluzja, tylko takie przystawki francuskie, więc godne zanotowania). Czy istotnie abstrakcjonizm się przeżył? Znać to widomie złowiesz, że dołtarz aż do nas, na egzemplar chybą jednak za wcześnie. I choć niektórzy dają słowa, ja bym w ten krzyżyk i amen nie wierzył. Im tak wygodniej, a mnie inaczej.

Widziałem przed kilku laty obraz przedstawiający szkolną baletową, obraz świetnie malowany, a tak słodki i słodki, aż mdliło. Cóż stał, że autor

doskonale opanował rzemiosło, kiedy stać go było tylko na banał, od siebie nie miał nic do powiedzenia. Wydaje mi się, że malarz czy rzeźbiarz, który pragnie dotrzymać kroku współczesności, musi przejść przez abstrakcjonizm, w tej bowiem dyscyplinie nie da się ukryć własnej nicości pod płaszczykiem frajającego tematu. Musi przejść, a potem niech sam sobie wybiera dalszą drogę. I jeśli tak postawimy sprawę, importowanie obcych wzorów przestanie być hanbą. Któż by np. żądał od wynalazcy, by od początku wynalazł proch?

Nie ma zgody, powiadacie. Albo ktoś jest nowoczesny, albo nie, albo jest nowatorem, albo nim nie jest. Kula w plot, obywatelu. Nowoczesność i nowatorstwo to nie to samo. Taki „Leonardo”, taki Rembrandt (wszak na niego stałe się powołujemy), taki Goya czy Delacroix byli w swojej epoce nowocześni, bo w nowej formie wyrażali nowe prawdy, nie byli jednak, w naszym rozumieniu tego słowa, nowatorami. I dalibóg, choć wtedy to byli malarze, zgryźliwa krytyka odsadzała ich od celi i wiary. Nie się pod słońcem nie zmieniło.

Ze co? Ze nie o Rembrandtach tu mowa? Czy jeden z drugim szanowny krytyk daje za to głowę? Wstyd będzie, jeśli czcigodnemu oponentowi sztuki nie ma nie gorszego jak przynaglenie. Rozumiem, chciałoby się jeszcze za życia zbierać soczyste jabłuszka z drzewka, które się z zapalem podława. Rozumiem, smak absolutu kusi, jakże pojętna jest wizja najwyższej, idealnej doskonałości. Niestety, w ślad za mirażami Winckelmannów — czy Przybosi — idzie się prosić do nowego akademizmu. Czytajcie „Nowy, wspaniały świat”.

W drugiej połowie XIX wieku nowocześni byli impresjonisci, lecz w salonych paryskich brylowali pompierzy. Niedługo potem impresjonistów uznano i odczesano honorami, a ich następców okrzykano „dzikimi bestiami”. Tak bywa zawsze, sztuka oficjalna ma swoje racje i swoich zwolenników.

Redakcja „Karuzeli” ogłasza konkurs otwarty na opowiadanie satyryczne lub humorystyczne. W konkursie może każdy wziąć udział i nadesłać dowolną ilość utworów. Opowiadanie nie może przekraczać dwóch i pół kartek maszynopisu (na kartce maksimum 32 wiersze po 60 znaków pisarskich).

Redakcja „Karuzeli” przeznaczyła dla zwycięzców konkursu trzy nagrody pieniężne, a mianowicie: 3.000 zł, 2.000 zł, 1.000 zł. Niezależnie od tego redakcja zakupi wszystkie prace, które będą odpowiadały wymogom pisma.

W skład jury wchodzi, poza przedstawicielami redakcji „Karuzeli”, literaci: Jan Huszcza, Horacy Safrin i Jan Sztandynier.

Prace konkursowe należy nadesłać do dnia 15 sierpnia 1958 r. pod adresem „Karuzeli”, Łódź, Piotrkowska 96, w kopercie z napisem „Konkurs literacki”. Na maszynopisie musi być podane nazwisko i adres autora. Wyniki konkursu będą ogłoszone do dnia 20 września 1958 r.

nków, a nowe idee z trudem torują sobie drogę. Dziś także ścierają się różne poglądy, i dobrze niech się ścierają. Falszywe pójdą w zapomnienie, dorzeczne zostaną. Zwłaszcza że dzisiaj nikomu nie można przyznać monopolu na nowoczesność. Zbyt skomplikowane są nasze czasy, by prawdę o nich zamknąć do jednej tylko szufladki.

Abstrakcjonizm nie jest w lepszej ani gorszej sytuacji niż inne artystyczne tendencje współczesności. Istnieje od lat pięćdziesięciu, zmienia się, trwa. Czy powiedział już ostatnie słowo, tego nikt nie wie. Czy się powtarza? Nie więcej niż inne kierunki, a w każdym kraju — u rzeczywistych twórców — ma jednak swoje oblicze.

Czy warto więc zostać abstrakcjonistą? Pytanie jest nie postawione. Warto i trzeba być sobą, wierzyć w słuszność swej sprawy. Jeżeli mam coś do powiedzenia właśnie i tylko jako abstrakcjonista, nie będę się kłaniał złotemu cielcowi. Ale świat jest szeroki, a opozycje też ludzie.

KONKURS



Redakcja „Karuzeli” ogłasza konkurs otwarty na opowiadanie satyryczne lub humorystyczne. W konkursie może każdy wziąć udział i nadesłać dowolną ilość utworów. Opowiadanie nie może przekraczać dwóch i pół kartek maszynopisu (na kartce maksimum 32 wiersze po 60 znaków pisarskich).

Redakcja „Karuzeli” przeznaczyła dla zwycięzców konkursu trzy nagrody pieniężne, a mianowicie: 3.000 zł, 2.000 zł, 1.000 zł. Niezależnie od tego redakcja zakupi wszystkie prace, które będą odpowiadały wymogom pisma.

W skład jury wchodzi, poza przedstawicielami redakcji „Karuzeli”, literaci: Jan Huszcza, Horacy Safrin i Jan Sztandynier.

Prace konkursowe należy nadesłać do dnia 15 sierpnia 1958 r. pod adresem „Karuzeli”, Łódź, Piotrkowska 96, w kopercie z napisem „Konkurs literacki”. Na maszynopisie musi być podane nazwisko i adres autora. Wyniki konkursu będą ogłoszone do dnia 20 września 1958 r.

Redakcja „Karuzeli” ogłasza konkurs otwarty na opowiadanie satyryczne lub humorystyczne. W konkursie może każdy wziąć udział i nadesłać dowolną ilość utworów. Opowiadanie nie może przekraczać dwóch i pół kartek maszynopisu (na kartce maksimum 32 wiersze po 60 znaków pisarskich).

Redakcja „Karuzeli” przeznaczyła dla zwycięzców konkursu trzy nagrody pieniężne, a mianowicie: 3.000 zł, 2.000 zł, 1.000 zł. Niezależnie od tego redakcja zakupi wszystkie prace, które będą odpowiadały wymogom pisma.

Redakcja „Karuzeli” ogłasza konkurs otwarty na opowiadanie satyryczne lub humorystyczne. W konkursie może każdy wziąć udział i nadesłać dowolną ilość utworów. Opowiadanie nie może przekraczać dwóch i pół kartek maszynopisu (na kartce maksimum 32 wiersze po 60 znaków pisarskich).

Redakcja „Karuzeli” ogłasza konkurs otwarty na opowiadanie satyryczne lub humorystyczne. W konkursie może każdy wziąć udział i nadesłać dowolną ilość utworów. Opowiadanie nie może przekraczać dwóch i pół kartek maszynopisu (na kartce maksimum 32 wiersze po 60 znaków pisarskich).

Redakcja „Karuzeli” ogłasza konkurs otwarty na opowiadanie satyryczne lub humorystyczne. W konkursie może każdy wziąć udział i nadesłać dowolną ilość utworów. Opowiadanie nie może przekraczać dwóch i pół kartek maszynopisu (na kartce maksimum 32 wiersze po 60 znaków pisarskich).

Redakcja „Karuzeli” ogłasza konkurs otwarty na opowiadanie satyryczne lub humorystyczne. W konkursie może każdy wziąć udział i nadesłać dowolną ilość utworów. Opowiadanie nie może przekraczać dwóch i pół kartek maszynopisu (na kartce maksimum 32 wiersze po 60 znaków pisarskich).

Redakcja „Karuzeli” ogłasza konkurs otwarty na opowiadanie satyryczne lub humorystyczne. W konkursie może każdy wziąć udział i nadesłać dowolną ilość utworów. Opowiadanie nie może przekraczać dwóch i pół kartek maszynopisu (na kartce maksimum 32 wiersze po 60 znaków pisarskich).



PECH

Podczas odczytu szefa policji kryminalnej w Hamburgu, Carla Bauera, na temat „Jak uchronić się przed kradzieżą i włamaniem” — jacyś złodzieje dostali się do mieszkania prelegenta i skradli mu 200 marek.

W SPRAWIE SPODNI

Radziecki pisarz Rybakow opublikował niedawno na łamach „Komsomolskiej Prawdy” artykuł, w którym aprobuje on w pełni wąskie spodnie, luźne marynarki oraz krótkie płaszczki. Rybakow stwierdza z ubolewaniem, że „ciągle jeszcze widzimy, jak ludzie zaniatają trotuary długimi, szerokimi nogawkami i cierpią w wpychanych watą marynarkach”.

ODGŁOSY Z LONDYN

Nasz londyński imiennik — tygodnik „Odgłosy” — zamieścił artykuł poddający druzgocącej i sarkastycznej krytyce sytuację wśród politycznych stowarzyszeń emigracji. Artykuł jest zatytułowany „O 300 prezesach i nie-reprezentatywnych reprezentantach emigracji” i czytamy w nim między innymi: „Dzisiaj życia politycznego i społecznego emigracji jest tak gęsta i poplątana, że co najmniej 90 procent Polaków zamieszkujących tę wyspę nie orientuje się w jej zakamarkach, co gorzej (a może lepiej) — zupełnie się nimi nie interesuje”.

CHIŃSKA MOTORYZACJA

Jak donoszą z Pekinu, zbudowany tu został prototyp pierwszego chińskiego wozu osobowego. Nazywa się on „Wiatr od wschodu”, wyposażony jest w silnik o mocy 70 koni i osiąga maksymalną szybkość 130 km/godz.

JAROSZE

Na niedawnym kongresie Zrzeszenia Jarosław Niemieckich ustalono, że w przeciwieństwie do rozpowszechnianego poglądu Hitler nie był zdecydowanym jaroszem. Natomiast nie można poddawać w wątpliwość vegetarianizmu Wolfganga Goethego. Jeśli idzie o jarosłów ze środowiska współczesnych polityków, to, jak stwierdzono na zjeździe, najwięcej jest ich w ZSRR.

PRZECIW DEPRAWACJI

We Włoszech, oczywiście Sophii Loren oraz Lollobrigidy, organizacja tzw. Frontu Rodzinnego wystąpiła na drogę sądową z pozwem skierowanym przeciw producentom filmowym odpowiedzialnym za publikację plakatów z Brigitte Bardot. Wśród dowodów rzeczowych znajduje się kilkanaście tysięcy listów dziatwy szkolnej, świadczących pono, że na skutek oglądania inkryminowanych plakatów „czuje się ona całkowicie zdemoralizowana”.



ALTERNATYWA

Klub amerykańskich dziennikarzy zwrócił się do prezydenta Eisenhowera, by swą obecnością zaszczylił tradycyjny doroczny bankiet dziennikarzy w hotelu Waldorf-Astoria. Podobnie jednak jak w roku ubiegłym, Eisenhower nie przyjął zaproszenia. W związku z tym dziennikarze zaprosili Harry Trumana, poprzednika obecnego prezydenta USA.

CHŁOSTA

W specjalnym głosowaniu na temat stosowania kary chłosty w szkołach powszechnych związek nauczycieli szwedzkich wypowiedział się 230 głosami przeciw czterem za jej utrzymaniem. Nauczyciele, motywując swe stanowisko, stwierdzili, że „przy obecnym stanie wiedzy pedagogicznej nie widzą możliwości zrezygnowania z kar cielesnych”.

POŚWIĘCENIE

W mieście Bristol (Wielka Brytania) dokonano poświęcenia nowego kościoła oraz znajdującego się w przykościelnym ogrodzie parkingu, obliczonego na 200 dzieciennych wózków.



COOPER ZNOW MŁODY

Liczne przedwójne miłośniczki Gary'ego Coopera pragnęły powiadomić, że znany ten amerykański amant filmowy poddał się ostatnio operacji kosmetycznej, która ma jego twarz odmłodzić o 20 lat.

PROBLEM

Przez siedem lat 15 tysięcy mieszkańców miasta Westchester w stanie Illinois (USA) uskarżało się na brak wody. Ostatnio wykryto, że przez cały ten czas dwa główne wodociągi otwarte były jedynie w połowie. Jeden obrót kranów pozwolił usunąć bólową przyczynę mieszkańców miasta.

Biblioteka

czowski, niekwestionowany żar rewolucyjności zdążył tymczasem zwęglić się w bryłkach wierszy.

Wypada mi przeprosić znanych i nieraz notowanych na krytycznej giełdzie poetów, że zaczęli od czterech, właściwie pięciu debiutantów. Są to J. M. Rymkiewicz „Konwencje”, Z. Kosiński „Port egzotyczny”, M. Ochocicki „Nie ma Jerego”, J. Skoszkiewicz „Na krawędzi czasu” i L. Gomolicki „Czas spoiłaty”. Ten ostatni zeswoją poezją naniesioną w okresie ostatniej wojny wchodzi niejako na pozycję graniczną między debiutującą, dość zróżnicowaną wiekiem młodzieżą i średnim pokolenie poetów zbioru. Można go jedynie rozpatrywać w obrębie formacji poetyckiej czasów pogardy; z nią dzieli tę samą postawę wobec rzeczywistości, ten sam materiał i sposób obróbki. Obawiam się wypowiedzieć takie przypuszczenie: otóż dostrzegam u Gomolickiego wiele śladów kunsztownej, ze zmienionym powodzeniem otwieranej egzaltacji, z mitologiczną inkrustacją i lubowaniem się w feerii grozy i zagłady. Jakby apokaliptyczna oglądania z bezpiecznego azylu. Pisanie o debiutach jest kłopotliwe, przede wszystkim obowiązuje do ocen przyszłych

NASZA KRZYŻÓWKA

1		2	3	4	5
6					
8					
10					
12					
13					
14					
15					
16					
17					

Poziomo — 1) Dyrygent, 6) Korkociąg, 8) Utwór muzyczny na 3 głosy, 9) Animus, 10) Uderzenia, 11) Baza, 13) Naczynie do płynnych potraw, 15) Murzyn, 16) Sprawdzanie nabytych wiadomości, 17) Odcienie pewnej części dochodu na pokrycie kosztów inwestycyjnych.

Pionowo — 1) Zart, figiel, 2) Rzeka w Hiszpanii, 3) Stopień oficera, 4) Sztuczne jezioro, 5) Próznik, wiecznik przekładający ludziom, 6) Wzory rysunkowe z wijących się linii, zwłaszcza na papierach wartościowych.

Wych. 7) Aparat do prześwietlania niektórych ciał nieprzezroczystych, 12) Balada Adama Mickiewicza, 14) Wyszuszone wodorosty morskie, 15) Dopływ Wisły.

Termin nadsyłania rozwiązań — 10 dni.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 9:

Poziomo — Cybernetyka, walet, Nogat, Arafura, Irka, piwo, owionie, cynik, Artus, abstynencja.

Pionowo — cywilizacja, eter, rour, antagonist, Laokoon, Tal, Nur, gabinet, tok, gna, wikt, Iran.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali: 1. Maria Staszewska, Radomsko, ul. Górna 2, 2. Marian Mischczak, Częstochowa, ul. 1 Maja 40.

odgłosy str. 8

— 31 —



STRESZCZENIE

Z Ziemi wyruszyła na Marsa rakietą międzyplanetarna. Uczestnicy wyprawy znaleźli na satelicie Marsa — Deimosie grobowce wielkich pszczoł. Rakietą międzyplanetarną „Gloria” krąży wokół Marsa. Wylądował samolotem na zwiady jeden z uczestników wyprawy ginie zabity przez pociski niewidzialnych Marsjan.

Byliśmy wszyscy bardzo przygnębieni śmiercią Victora Pilattiego. Wiadomość o tym wywarła wielkie wrażenie na Ziemi. Prezydent Callado udzielił nam carte blanche, ale to wcale nie wyjaśniało naszej sytuacji. Mimo nacisku grupy profesora Carrocci, nie mogliśmy się zdecydować na użycie środków ostatecznych, to znaczy naszych superbomb, gazów i artylerii protonowej.

Jestem niepokleszony — huczał admirał ze wzruszeniem w głosie — nie mogę sobie wprost wybaczyć. Straciliśmy Pilattiego. Nie wolno mi było zgodzić się na ten wypadek. Umiął mnie jednak przekonać... on... i profesor Cronenstraem — spojrzeli z wyrzutem w jego stronę. — Obecnie mamy wolną rękę. Musimy zmusić Marsjan do rozpoczęcia z nami układów... ale, jak to zrobić? Musimy ich również ostrzec. Ale jak ostrzec? Dość już ofiar. No i następnie sprawa ich siły. Pokazali nam próbkę. Czy jest chociaż prawdopodobieństwo, że i nas zamienią w pustą przestrzeń kosmiczną?

Nie — oświadczył profesor Townsend. — Żaden rodzaj promieniowania nie może zniszczyć ani przetrwać się przez naszą zasłonę elektronową. Pociski o ładunku ujemnym będą odrzucone, a o ładunku dodatnim pochłonięte i włączone do naszego pola elektronowego, przez co pole to ulegnie jeszcze wzmocnieniu... Nic nam nie może grozić — mówił z przekonaniem, — „Aga” zginęła, gdyż takiej osłony

— 32 —



nie miała. Technicznie nie jest jeszcze możliwe skonstruować takiej zasłony na małym i lekkim samolocie — dodał.

Po wysłuchaniu tego zapewnienia twórcy osłony elektronowej, postanowiliśmy w miejscu, gdzie zginął Pilatti, na cyplu Puerto Pablo, rzucić zwykłą, ale dość silną bombę pikrynowo-trotylową.

Wyczerpaliliśmy na naradzie wszystkie argumenty i zdaje się, nie było innego rozwiązania. Czy byli tam ludzie, czy jacyś mityczni Atlanci, czy genialne owady — musimy zmusić mieszkańców tej planety do porozumienia się z nami. Jeśli nie reagują oni na wszystkie nasze pokojowe usiłowania, jeśli uśmiercają naszego towarzysza i niszczą nasz samolot właściwie bez powodu, to jakich jeszcze możemy użyć argumentów? Wybuch tej bomby wskaże im, że nie godzimy się z ich postępkami, i że — ostrzegamy.

Ufając w zapewnienia profesora Townsenda zniżyliśmy się do wysokości 100 kilometrów. Nasza stacja radiolokacyjna poczyniła wszelkie pomiary, oscyloskop wskazał podejrzany punkt na Puerto Pablo, admirał nacisnął czerwony guzik, na stole rozdzielczym zapłonęła czerwona lampka i zgasiła, bomba wagi trzech ton wyleciała z wyrzutni, minęła sferę pola elektronowego, które w tej chwili było wyłączone i pomknęła na dół. Wybuch obserwowaliśmy przez szkła przybliżające. Rozbłysło szybkie światło, podniósł się duży kłęb kurzu i dymu, głos żaden nie doszedł. No, teraz zobaczymy. Jeśli dalej nie będzie żadnej odpowiedzi — nie wiadomo co robić.

Nareszcie Marsjanie ujawnili się w całej pełni. Zawisłiśmy, jak to często czyniliśmy, w polu grawitacyjnym Marsa na wysokości 3.000 kilometrów, wygasiliśmy motory i weszliśmy w obieg, jako jego satelita. Przy tej szybkości i odległości w ciągu 10 dni robiliśmy pełny obrót wokół tej planety.

— 33 —



Zbliżała się pora obiadowa. Trwały, jak zwykle przy naszym stole jadalnym, rozmowy i debaty. Pierre Barrot i Ali Baba roznosili przystawki. Pamiętam jak dziś — było to kilka gatunków sera, sardynki, sałata i świeże ogórki, sos majonezowy i kawałki sztucznej szynki.

Niespodziewanie zaryczyły syreny połączone z systemem alarmowym automatów i radarów, rozległy się gwałtowne gwizdki i dzwonki. Zerwaliśmy się na równe nogi. Wtem Gloria zakoiysała się potężnie. Ze stołu poleciały przystawki, talerze, szklanki, noże i widelce. Za nimi spadały bukiety kwiatów. Liliowe kłose bzu (był to akurat dzień bzu) spadały ze stołu, stolików i ścian, leciały wazony i karaftki. Jedni z nas leżeli na podłodze, inni jak piłki tenisowe odbijali się od sprządek. Otoczyło nas zewsząd oślepiające niebieskie światło. Coś ryczał admirał, coś wykrzykiwali inni. Wśród ogólnego zgłębku nie słychać było słów, ale już dochodził do nas wycieczony warokot naszych motorów jądrowych i specjalne dzwonki poruszających się automatów. Gloria podskakiwała jak korek na wzburzonym morzu. Człgając się, posuwając się na czworakach, trzymając się ścian zdążaliśmy do swoich posterunków. Zewnętrzna część naszego pola elektronowego, oddalona od nas o kilkadziesiąt metrów rozłożona była do oślepiającej, zielonawej białości. Szalała tam temperatura rzędu milionów stopni. W akceleratorach, wytwarzających pole, napięcie spadało, przewalały się tam miliardy elektrowoltów, a błękitne pociski niepojętej siły wciąż w nas uderzały.

Wczółgałem się do kabiny nawigacyjnej. Tam stał już przy sterach i dźwigniach nasz potężny admirał Hill. Całą twarz miał zalaną krwią, krew kapłała również na jego niebieski, metanilowy kombinizon.

Gloria uciekała już siłą wszystkich swoich dysz z zasięgu tych straszliwych piorunów. (d. c. n.)

poetów 1957

nych, nieśmiały, ponieważ podświadnie zawsze znajdują kontrargument — że to jeszcze nie on cały, że zaledwie afisz itp. Tym razem może mniej to wchodzić w rachubę. Jakkolwiek wszelkie zaszeregowanie może okazać się fałszywe i ostatecznie upraszczające wnioski, jednak trudno obronić mi się przed natarciwą sugestią, że Rymkiewicz i Kosiński, choć poetycko tak inaczej nastroszeni, są sobie podobnie bliscy, jak Ochocicki ze Skoszkieviczem. Jeśli zaś ktoś ma wątpliwości, czyj tomik, moim zdaniem, jest solą zbioru, nie zamierzam dręczyć Rymkiewicza. Nie warto, śladem nieefektywnych praktyk, dociekać jego miejsca i rangi wśród rówieśników. Jest fakt, że wybuchem swego talentu wzbogacił lirykę polską lat ostatnich. W poezji Rymkiewicza, Europejczyka i dziecięcia wieku fizyki opukano już obce, miłoszowskie stoje. Z pewnością ten rodowód istnieje, nie kompromituje tylko, skoro nie cuchnie dectym anachronizmem. Rymkiewicz zaskakuje i sam określa się w poezji, jakby dwoma rysami. Jego namiętny, ale jakby w ryżach harmonijnego patosu i wstrętności, zaangażowany w rzeczywistość wieku atomowego i sceptyczny, wrażliwy, pedantycznie odważa-

jący tradycje i historię, proponujący konwencje nowoczesne w duchu bezradnego moralizmu, który częściej broni siły emocji niż drwiną. Z drugiej strony drażni wytwornością, finezją i elegancją, formującą się neoklasycyzmem i strojem wiersza. Jakież uroczy refrenowym wchodzeniem rekwizytów mitologii i teatru (te ostatnie stają się podniecającą obsesją), co w szczególny sposób narkotyzuje atmosferę jego poezji, kraj arcydajski pełen lęku. Wydaje mi się, że Rymkiewicz staje się poetą intelektualnej młodzieży, wyrafinowanej, subtelnych statystów, dla których życie jest fenomenem pikantnym, cynicznym, w gruncie rzeczy pozbawionym jakiegokolwiek sensu. Nawiasem — ktoś wnikliwiej od niego spoetyzował wdzięk i styl nowoczesnej muzyki: dziewczyny w klipsach i czarnych ponczochach?

Kosiński jest bardziej intelektualizowany, oszczędniejszy w wyrazie, swoimi naiwno-oznajmującymi zdaniem jakby apoteozy w zestawieniu z pięknoślowiem poprzednika. Swoją obrachunek ze światem, od którego podobnie jak Rymkiewicz nie może się wyzwolić, załatwia w skupieniu, waży go w paradoksie, w grotesce, w aluzji filozoficznej. Zdaje się patrzeć na wszystko z

STANISŁAW
KASZYŃSKI

pozycji cynika, którego nie już nie może zadziwić, ale który na dnie egzystencji zachował szczyptę uznania dla zwykłego rozsądku.

U obu poetów nie znika z pola widzenia skomplikowany żywioł teraźniejszości, który przyciąga i paraliżuje swoim bezsensu i okrucieństwem, lecz nie warto nie pamiętać o nim.

Pełnym przeciwnieństwem są dwaj pozostali poeci. Liryka to przede wszystkim wnikliwa, głęboka, introspekcyjna, zatrzymana w własnym doświadczeniu i wspomnieniach, która szczególnie u Ochocickiego sprządza się do reaktywowania osobistych wrzuceń dzieciństwa i miłości. Plaszczyna to zamknięta, z subtelnościami poezji intymnej, z cieniowymi opisami natury, z wybijającą się barwą nocy i mroku, która jest prowadzącym motywem obrazowym. Skoszkievicz czerpie z tego samego rezerwuaru. I on ma swój liryczny refren — podmiot: dziewczynę z kwiatem, która, pokazująca tradycyjnie, jest u niego jakąś dźwignią sensu istnienia. Intymność, optymizm emocjonalny i zryw buntu przeciw anonimom, którzy łamią porządek natury, gwałcą jej rytm i cel. Liryka sprawi, że prawd

wieczystych zostanie się tylko o tyle część racji jest po stronie obu poetów, którzy powtarzają echa, prawda, że swolm autentycznym głosem, echa — przygody serc.

Pocucie przestrzeni wyznaczona na omówienie zmusza mnie zaledwie do wzmianki o zbiorach pozostałych poetów. J. Huszcza („Miłość dzień powszedni”), liryk o temperamencie kresowym, uwrażliwiony na krajobrazowość, dziwnie świeży i naiwny ze swoją emocjonalnością wspominków i zachwytów, mimo że znany to wszystko skądinąd. W. Słobodnik („Podróż wylądowania”), kontemplator zawsze istniejących aktualności (niestrudzonego puls życia), z rekwizytami baśni i romantycznego melodramatu, malarz kolorowych pejzaży kreślonych wielkimi słowami, które oferują aż i jedynie ładność świata, jego ład i zmęczenie. H. Safrin („Ośla szczeka”) — jedyny w zbiorze tomik drobnośnek satyrycznych, robionych w szanownej poetyce bajki zwierzęcej, z nieczęsto udanymi próbami narzucania im funkcji ilustracyjnej naszych maleńkich błędów i wypaczeń. Nieporównanie zgrabniejsze są i sympatyczniejsze zwierzozwane anegdoty z życia Herszla z Ostropola, gdzie Safrin nie strzela własnymi nabojami.

W sumie czyta się przyjemnie,

List do Redakcji

Do
Redaktora
„Odgłosów”
w Łodzi

W numerze 13 Waszego poczytnego pisma ukazała się wzmianka recenzyjna płaora J. M. R. na temat przedstawienia „Wiele hałasu o nic” Szekspira. Nie chcąc podejmować dyskusji ani co do meritum ani co do formy wzmianki, musimy jednak pożalić się recenzentowi, że nieposob nam nie grać Szekspira, gdy publiczność na całym świecie, w tej liczbie i w Łodzi, przepada za tym autorem scenicznym, mimo że istotnie nie udało się nam znaleźć reżysera, „który bez obawy — cytujemy recenzenta — wszedłby w las szekspirowski, by w nim zaginać, a potem znaleźć drogę ku nietykalnemu centrum, ku wściekłości (!) i imaginacyjnemu wspomnieniu szczególnym łagodnego uśmiechu”. Nie możemy również zadość uczynić interwencji pana J. M. R., aby stworzyć z Szekspira „festyn” braw i

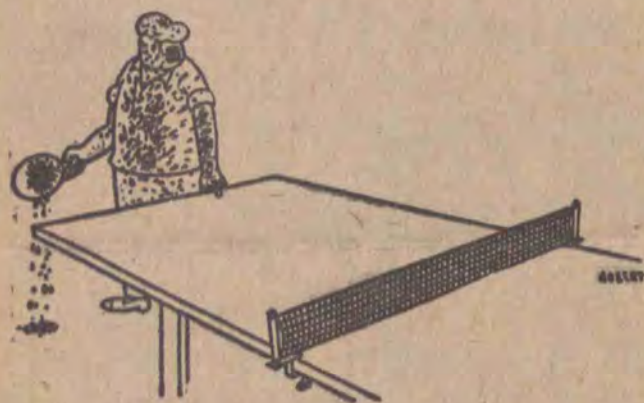
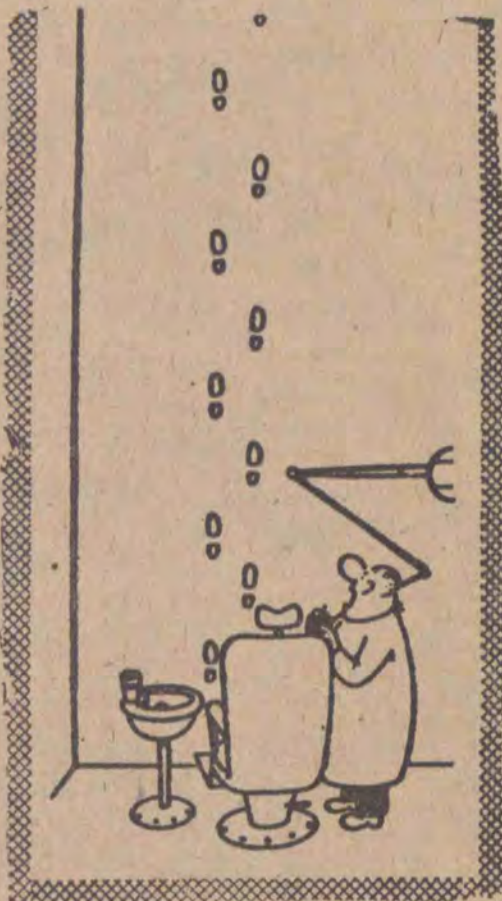
światła”, ponieważ jako teatr dramatyczny mamy obowiązek między brawami i światłami podawać także tekst utworu. Zresztą nie jesteśmy samolubni i uważamy, że brawa należą się tak — ze teatrom, na które laskawie wejrzało oko recenzenta. A już na pewno nie możemy się zgodzić ze zniekształceniami nazwisk naszego zespołu artystycznego. Aby nie przytaczać przekreślenia trójliterowego recenzenta, pozwolimy sobie podać, że w „Wiele hałasu o nic” rolę Benedykta gra Mirosław Szonert, a dyrektorem i kierownikiem artystycznym teatru jest Zbigniew Koczanowicz. Wydaje się nam, że przynajmniej w zakresie pisowni nazwisk obowiązują poprawność.

Z należnym poważaniem
Zespół Artystyczny
Państwowego Teatru Powszechnego w Łodzi.

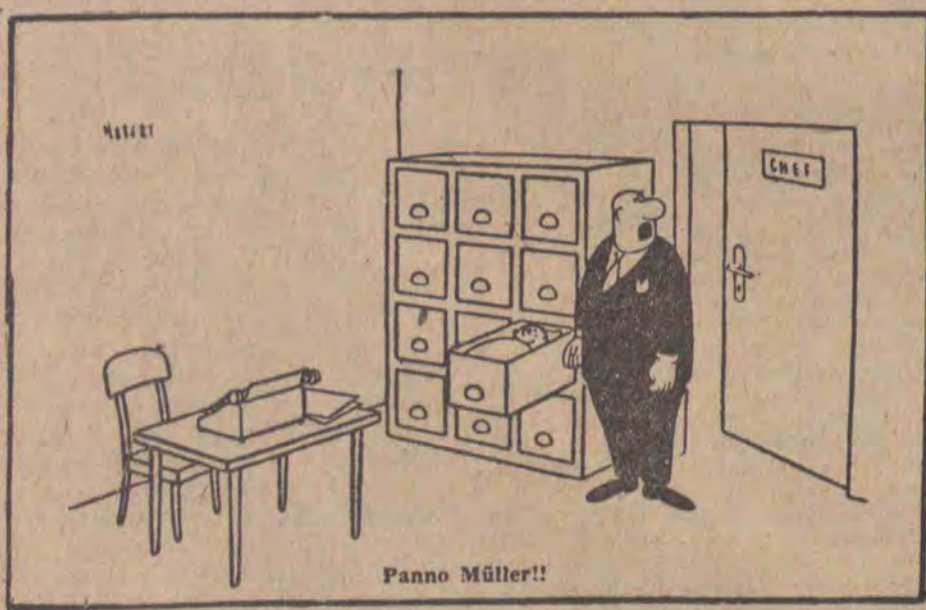
9 odgłosy
str.

albo żarty medyczne

NOBERT



— Skąd się tu, u diabła, wziął pomidor?



Panno Müller!!



W cyklu „Najostrzejsze ołówki świata” przedstawiłem dotąd rysowników francuskich, niemieckich i amerykańskich. Dziś po raz pierwszy znajduje się w naszym przeglądzie Niemiec z NRF. Rzecz ciekawa, że żarty rysunkowe nie są mocną stroną humorystów niemieckich. Przewertowałem szeregi roczników czołowych magazynów — wyniosłem z tej lektury dość mizerne wnioski. Przeważają ciężkawe dowcipy o sprzeczkach małżeńskich i teściowych. A jeśli już któryś karykaturzysta wykroczy poza te rejon, daleko mu do finezyjnej lekkości humoru francuskiego czy też brawurowych absurdów „made in USA”. (Trzeba z żalem stwierdzić, że sporo tych kiepskich płodów z NRF przedrukowuje nasza prasa).

Do nielicznych wyjątków zdaje się należeć prezentowany obok Nobert. Przynajmniej o nim można powiedzieć, że stara się być oryginalny, że nawet w dość ograniczonych tematach usiłuje odnaleźć nowe złoża humoru.

Medice, cura tui ipsi! Już starożytni Rzymianie... ale zostawmy jednak przy Nobercie. Właśnie lekarze i dentyści są najczęstszymi bohaterami żartów Noberta. Choć nie tylko oni — ale wszystko, co jest w jakiś sposób związane z medycyną — więc także i nacieleni.

W przeważającej liczbie dowcipów Nobert nie drwi z medycyny. To tylko dla niego teren, gdzie szuka zabawnej anegdoty, podobnie jak francuski rysownik Bosc szuka śmiesznych sytuacji w wojsku. Istnieje zresztą jeszcze inne, bardziej powierzchowne podobieństwo twórczości Noberta i Bosca: obaj komponują długie, wąskie rysunki.

Dowcip Noberta polega przeważnie na absurdzie, choć na upartego większość pokazywanych przezeń historii mogła się zdarzyć w rzeczywistości. W odróżnieniu od Bosca często zaopatrzuje swe rysunki podpisami. Uzupełnienia tekstowe daje jednak lapidarnie.

42-letni Nobert (to miano jest pseudonimem artystycznym) współpracuje stale z trzema największymi magazynami tygodniowymi NRF — „Der Stern” (Hamburg), „Neue Illustrierte” (Kolonia) i „Quick” (Monachium). Debiutował dopiero po wojnie.

J. W.

Portret z sera



Est to cieniutki i bardzo intelektualny ten dowcip, którym napisany jest „Portret z sera” Zygmunta Fijasa. Rzekłbym nawet, że jest on erudycyjny, oparty na rzetelnej wiedzy o temacie, którego dotyczy. Weźmy chociażby jeden z najcenniejszych moim zdaniem felietonów: ten o „ulicach wielkiej Łodzi”. Temat wymagał dokładnego przestudiowania najnowszego planu miasta Łodzi. Ale teraz chodzi o wnioski z tych studiów. I tu już w grę wchodzi wrodzona autorowi inteligencja. Przez proste wyliczenie nazw ulic, przez prostą ich segregację według tego, co te nazwy oznaczają, przez proste zestawienie tych znaczeń autor obnaża cały bezsens tych nazw, rodzi mu się niejako pod piórem uogólniająca groteskowa metafora, uwiadamiająca jak w soczewce skoncentrowaną bzdurę niektórych urzędowych uchwał i rozbrajającą głupotę biurokracji. Zygmunt Fijas nigdy nie poprzestaje na ukazaniu samego tylko objawu zła, głupoty czy bezsensu, on jeszcze obnaża ich korzenie — tu jego dociekliwość nabiera szczególnej pasji, rzekłbym, pasji intelektualnej o charakterystycznym posmaku terzytesowskiej złośliwości. Odczytajcie jeszcze raz takie na przykład „Ofiary maskarady”. Każde zdanie tutaj to gryząca ironia. Znajdźcie mi, proszę, we współczesnej satyrze inny felieton o podobnie zgęszczonym, że tak powiem, trytolu sarkazmu. Genealogii szukać by trzeba aż w nowelach Norwida i może najtrafniej w humoreskach Marka Twaina. Podobna precyzja w szczegółach, finezja w stylu

RYSZARD BRUDZYŃSKI

WIWAT ROZRÓBKAR!

U szewców draka
Nie było jaka!
Wiece, zebrania,
Pełno gadania,
A jak morowo!
Daję wam słowo.
Tworzy się frakcja,
Grupa i grupka —
To ci rozróbka!
Wiwat rozróbka!

U perukarzy
Znów się coś warzy,
Klika gdzieś w kącie
We wspólnym froncie —
Ja tobie, ty mnie,
On jego rymnie,
Jakub na Kubę,
Kuba w Jakuba,
Ale rozróbka!
Wiwat rozróbka!

U obciągaczy
Ktoś krzywo patrzy,
Ktoś tam bajdurzy,
Burzy się, chmurzy,
Pełno gadania —
Wykończyć drania!
Tworzy się rada —
Taka się nada,
Przez jakąś ligę
Kleci intrygę.
Intryga taka!
Niech żyje draka!

Tak u trenerów,
Cieśli, giserów,
Referendarzy
I kominiarzy.
Na zbożnej pracy
Trawią rodacy
Dzionek za dzionkiem
W rozróbce z tronkiem
I korniszonkiem.
Niech żyje heca,
Co nas podnieca,
Hecunia luba —
Szczera rozróbka!
Wiwat rozróbka!



i konsekwencja w uogólnieniu, które ma nieodpartą siłę ostatecznego wyroku. Sędzia tutaj jest śmiech, tym groźniejszy, że przytłumiony i dyskretny — za to bezwzględny i nieodwołalny. Kto raz się nawinął pod satyryczną ostrowidzącą lupę Zygmunta Fijasa, ten tkwi jak zasuszony owad na zawieszonym pod szkłem jego cierpkiej ironii. Jego bezkompromisowy osąd nie ma w sobie nic ze starczej małostkowości pobłażliwego wybaczenia. Jest nieprzejednany i bezapelacyjnie skazujący na ośmieszającą drwinę i pogardę. Dobroćliwość nie leży w zwyczajach tej satyry, która operuje nie łagodzącymi synonimami i pastylkami doustnymi, ale ostrymi narzędziami chirurgicznymi, a nawet gdy potrzeba, kwasem solnym i wtriolem. Dlatego głupców strach przed nią ogarnia, gdy wykazuje, że najczęstsze nieszczęście naszego życia, to właśnie głupota. Stąd też głupcom jedynie nie podoba się ta satyra. Ale jak wiadomo vltupera stultorum lans est.

O skuteczności satyry Zygmunta Fijasa świadczy jej poczytność, oczywiście, w sferach wyrobionego już, jak się to mówi, pod względem pełnej subtelniejszej wrażliwości artystycznej czytelnika. Nabój erudycji i inteligencji zawartej w każdym felietonie Fijasa wymaga pewnego umysłowego wysiłku, który jednak jest, że tak powiem, dość komunikatywny, skoro „Portret z sera” zyskał już drugie wydanie. Na ogół nakłady książek spadają. Tymczasem z książką Zygmunta Fijasa dzieje się odwrotnie. Pierwszy nakład liczył 3 tysiące egzemplarzy. Drugi liczy 10 tysięcy. To coś mówi o jej istotnej wartości.

Drugie wydanie „Portretu z sera”, zresztą bez mała dwa razy obszerniejsze od pierwszego, jest poszerzone o nowe chronologicznie wcześniejsze i późniejsze utwory i takie, które się w okresie tzw. schematyzmu ukazać nie mogły. W ten sposób zyskałmy bardziej pełny i pogłębiony portret, bynajmniej nie z sera, samego Zygmunta Fijasa, jednego z najlepszych i najinteligentniejszych satyryków polskich.

M. P.

KAROL DUSZA

FRASZKI

Śpiąca królewna

W coraz to innych objęciach
Budzi się — z zaklęcia.



Do znajomej

Twa figurka cudem wcieleń
Ale w głowie — zieleń, zieleń!



Dopiero

Ma to do siebie nocne życie,
Że rumieni się o świcie.



ZBIGNIEW NIENACKI

ZABÓJSTWO HERAKLIUSZA PRONOBISA

Powieść

ILUSTRACJE
JERZEGO NOWOSIELSKIEGO

Streszczenie:

Poszukujący zabójców swego przyjaciela Pronobisa, poeta Nataniel i publicysta Tomasz, przybywają do pałacu w Borowie, gdzie wypoczywa grono intelektualistów. W nocy nasłuchują kradzieży cennych dzieł sztuki, następnego dnia kradzież ponawia się. Kradzieży tej dokonali młody mężczyzna i kobieta. Podejrzany jest profesor Zann, bo krytycznej nocy dochodził z jego pokoju tajemniczy rumor. Podejrzany jest malarz Borówko, bo oddał się z pałacu wbrew przykazaniom milicji. Podejrzani są: aktorka Rokoko, tłumacz „Kostek” i krytyk Grzegorz, bo pragnęli gdzieś coś ukradnąć. Podejrzana jest także osoba, która zgubiła szkiełko od zegarka oraz poeta Nataniel, który przepowiedział co zostanie ukradzione. Po kilku dniach prawie na oczach wszystkich ginie z biblioteki cenny zegar-antyk.

Siedzieliśmy wszyscy w fotelach palarni. Każdemu z nas milicjant zadawał te same pytania i odpowiedzi notował w brulionie.

Co Pan (Pani) robił (robiła) między godz. 16, a 18, to jest do kolacji? Kiedy po raz ostatni był(a) Pan(i) w bibliotece i kiedy po raz ostatni widział(a) Pan(i) zegar na kominku?

Malarz Borówko:

— Opuściłem bibliotekę kilka minut po godzinie 16, natychmiast, gdy spostrzegłem, że zaczyna być nudno i że wymknęli się do swych pokoiów pan Tomasz, profesor Zann i redaktor. Z biblioteki poszedłem wprost do siebie i... drzemałem. Tak drzemałem cały czas do kolacji. Zbudził mnie dopiero gong. Byłem głodny i oczywiście natychmiast pobiegłem do jadalni.

— Hhmmmm — chrząknął znacząco redaktor „Horyzontów Filatelistyki”.

— Pan chciał coś powiedzieć? — zapytał go uprzejmie oficer milicji.

— Taak... Chciałem coś powiedzieć. Ale może to nie ważne?

— Proszę mówić. Każda uwaga jest cenna.

— Ja, obywatelu milicjancie... dwukrotnie pukalem do pokoju pana Borówko, pragnąc pożywić zapalek. I ani razu go nie było w pokoju...

— Spałem. Mogłem nie słyszeć pukania — burknął Borówko.

— Być może. Być może. Tylko, że...

— Tylko że? — zapytał cicho oficer.

— Drzwi były nie zamknięte i za każdym razem zaglądałem do pokoju. Pana Borówko tam nie było — stwierdził sucho redaktor.

— Czy może pan określić w jakim mn e j więcej czasie pukał pan do pokoju obywatela Borówko?

— Niestety, nie patrzyłem na zegarek. Żałuję — szczerze wyznał redaktor.

— Tak więc, obywatelu Borówko, gdzie pan był między godziną 16 a 18? Proszę uwzględnić, że od tej chwili każda pańska odpowiedź może być użyta przeciwko panu.

— Gdzie byłem, to byłem. Nie powiem. Ja nie ukradłem tych waszych zakłamanych dzieł sztuki. Kicham na nie, słyszycie? Kicham! — rozkrzyczał się Borówko.

— Odi provanum vulgus — wyrzekł ze wstrętem Nataniel.

— Pan Borówko był u mnie w pokoju. Przez cały czas. Od godziny 16 do kolacji. Rozmawialiśmy — wyznała smutnie Pani z Wydawnictwa.

— Na pewno? — powątpiewał milicjant.

— Na pewno — odparła z mocą kobiety, która dla ukochanego człowieka gotowa jest ponieść najcięższą ofiarę.

— Czy ktoś może potwierdzić pani słowa?

— Niestety, nikt do mnie nie pukał...

— Teraz przyszła kolej na profesora Zanna.

— Profesor Zann:

— Pan Tomasz może być świadkiem, że o godzinie 16 opuściłem z córką bibliotekę. Przez cały czas do kolacji ani na sekundę nie wyszedłem ze swego pokoju. Do 17, lub około godziny 17, grałem z córką w szachy, a potem aż do gongu śledziłem na podręczniku matematyki. Cor-

ka moja, o ile zauważyłem, również nie oddalała się z pokoju.

Stokrotka:

— Tak. Czytałem. Cały czas czytałem „Opowiadania” Seroyana. O, mam tę książkę tu przy sobie, bo zbiegłem z nią na dół, spodziewając się, że jak zwykle wszyscy będą się długo zbierać w palarni i zdążyć przeczytać jeszcze kilka kartek.

Eleonora z Kraszewskich:

— Mał mój pisał od 16 piętnaście aż do gongu.

— Mał powie w imieniu własnym. Mnie zaś interesuje, co pani robiła? — zwrócił jej uwagę milicjant.

— Ja?? — zdziwiła się Eleonora. — A co ja mogłam robić? Oczywiście jest, że pilnowałam, aby pracował.

— Przez cały czas?

— Naturalnie. Krokiem się nie ruszyłam z pokoju.

— Hmmm — nieśmiało chrząknęła Stokrotka.

— Pani chciała coś powiedzieć? — zapytał ją milicjant. — Proszę mówić, każda uwaga może być niezwykle cenna dla śledztwa.

— Było to chyba na pół godziny przed kolacją. Zauważyłam, jak pani Eleonora opuściła swój pokój, na czubkach palców przebiegła hall aż do drzwi pokoju pana Tomasza. A potem... — Stokrotka zachichotała — zajrzała do jego pokoju przez dziurkę od klucza.

— Och! — wybuchnęła wstydem pani Eleonora.

— Fluuu — gwizdnął Grzegorz.

— Na Boga, dziecinol! — zdziwił się poważny Proszak.

— Aha! — zawołał znacząco mistrz Nataniel.

Stokrotka znowu zachichotała.

— Pani Eleonora chciała wypatrzeć, czy w pokoju pana Tomasza nie ma pani... Katarzyny Rokoko — i Stokrotka zarumieniła się.

— Aha! Teraz już wszystko rozumiem — powiedział ironicznie „Kostek”.

— Przepraszam, co pan rozumie? — zwrócił się do niego oficer.

— Nic, nic, nie takiego. Tak sobie tylko powiedziałem — wykręcał się „Kostek”.

— A może pan rozumie więcej niż się panu wydaje? Proszę nam powiedzieć.

— Nie. Rozumiem tyle, ile mi się wydaje.

Milicjant sięgnął ręką do kolan Stokrotki i wyjął jej z dłoni książkę.

— Hmmm — tym razem to on chrząknął znacząco. I rzekł:

— Ta książka nie jest w ogóle rozcięta. Pani jej nie czytała. To pierwsze kłamstwo. Twierdziła pani również, że nie wychodziła ze swego pokoju. Więc jakim cudem zauważyła pani osobę zaglądnącą przez dziurkę od klucza?

W oczach Stokrotki zjawily się łzy. „Trzy są zbroje niewiasty: słowa, piękność i płacz” — przypominałem sobie nauki mistrza Nataniela.

— Ja... ja... na chwilęczkę wybiegłam... do toalety — wyjąkała biedna, aczkolwiek piękna dziewczyna.

— Nie tylko — surowo zwrócił jej uwagę doktor W. — Wszak około godziny 17 trzydzieści wyminęliśmy się na parterze koło szatni.

— Proszę przemysleć swą odpowiedź. Od tej chwili każde pani słowo może być przeciw niej użyte — oświadczył z żalem oficer.

Stokrotka mówiła głosem przerywanym serdecznym łkaniem:

— Pan Tomasz... Pan Tomasz mi się podoba... A on... A on... z panią Rokoko... I wódkę piję. W szatni. Z panem Grzegorzem. Włec ja zakradłam się do szatni i te wódkę... Wylalam do zlewu... I jak wracałam na górę do siebie, to... zauważyłam panią Eleonorę. Zaglądała przez dziurkę od klucza do pana Tomasza.

To powiedziawszy piękna dziewczyna płacząc wybiegła z jadalni.

— Wielkie Nieba! Wielkie Nieba! — zmartwił się profesor Zann i podreptał za córką.

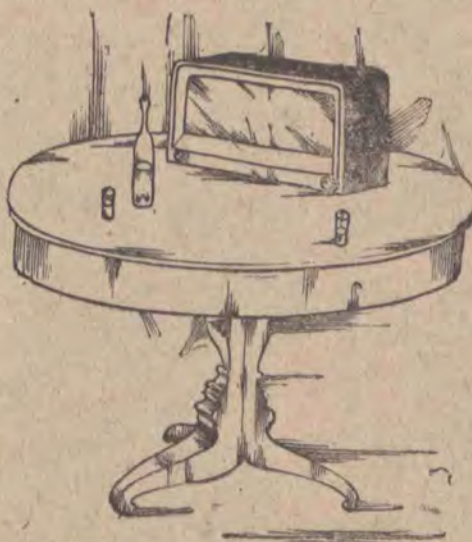
Było nam bardzo przykro. Śledztwo okrutnie nas obnażyło, ukazując brzydkie przywary i słabości, wywlekając na światło dzienne sprawy, które pragnęliśmy, aby pozostały niepoznane. Czulem się po dwakroć winnym i dwakroć było mi wstyd. Za siebie i Katarzynę Rokoko, i za młode niewinne dziewczę, Stokrotkę profesora Zanna. Najgorsze jednak okazało się dopiero wtedy, gdy Panienka z Wydawnictwa także wybuchnęła płaczem i krztusząc się łzami wyznała:

— Pan Tomasz... jest ohydny. Uwodził. Zawraca dziewczynę głową, a potem...

— Zaczyna od książek i kończy na biuście. he, he, he — z szatańską złośliwością wtracił redaktor „Horyzontów Filatelistyki”.

Ale tego już Panienka nie usłyszała, wyszła bowiem z jadalni z dumnie podniesioną głową. Prawdziwa skrzywdzona niewinność.

— Tomasz — rzekł głuchym głosem Nataniel. A był w jego głosie bezmiar wielkiego zdziwienia i potępienia. Potępienia nie za uwodzenie (o, to i mistrzowi zdarzało się niejednokrotnie) lecz za to, że udawał przed nim niezaradnego w sprawach miłości, byłym obłudnikiem i hipokrytą.



Tak oto w oczach borowskiego towarzystwa moja niepozorna postać stała się dziwną hebrydą, skrzyżowaniem Don Juana i jezuitę z „Tajemnic Paryża”.

— A więc, proszę pana? — oczywiście do mnie zwrócił się teraz oficer milicji.

Tomasz, publicysta komunikatywnego pisma „Bibliofil Polski”:

— Spałem. Spałem w swym pokoju od godziny 16 aż do gongu na kolację. Może ktoś z państwa pukał do mnie, aby pożywić zapalek? Może ktoś jeszcze zaglądał do mnie przez dziurkę od klucza? Jeśli tak, to osoby te przysiędają, że rzeczywiście spałem...

Mistrz Nataniel poeta:

— Ja najdłużej przebywałem w bibliotece. Przeglądając katalog książek spędziłem tam czas samotnie, aż do godziny, pamiętam dokładnie, za pięć minut ośmiemnasta, tj. do 17 minut 55. Gdy spostrzegłem, że zaledwie krótka chwila dzieli mnie od kolacji, szybko powędrowałem na parter do swego pokoju, aby się przebrać do wieczornego posiłku. Z całą odpowiedzialnością mogę stwierdzić, że do godziny 17 minut 55 zegar stał na kominku...

— Kolację rozpoczęliśmy dzisiaj wyjątkowo punktualnie — stwierdził oficer — dokładnie w pięć minut po gongu. Pięć minut po ośmiemnastej wszyscy państwo siedzieliście wraz ze mną przy stole. Jeśli założyć, że stary zegar przywłaszczony został przez kogoś z was, to ten ktoś musiał tego dokonać w czasie 10 minut, między godziną 17.55 a 17.55. No, dziesięć minut — rozmyślał głośno oficer milicji — to okres wystarczająco długi, aby zdjąć zegar z kominka i wsadzić go sobie pod pachę, ale nie sądzę, aby czas ten pozwolił na wyniesienie zegara z pałacu. Chyba... że złodziej ma współnika i że współnik ten czekał pod drzwiami pałacu. Rzecz jednak w tym, że od 17 trzydzieści aż do kolacji „gawędziłem” z całą służbą w kuchni pałacowej, a był przy tym także doktor W.

— Właśnie siedziałem na „pogawędce”, gdy w sieni spotkałem Stokrotkę — wyjaśnił doktor.

— I rzecz w tym — rozmyślał dalej milicjant — że „gawędząc” ze służbą miałem na oku frontowe drzwi. Drzwi zaś od ogrodu są zamknięte, a klucz od nich mam od wieczora w kieszeni.

— Pomiędzy pan zupełnie możliwie, że kradzież nastąpiła w momencie, gdy siedzieliśmy już przy kolacji — powiedział mistrz Nataniel. — A wówczas my jesteśmy poza wszelkimi podejrzeniami.

Ale i ta możliwość właściwie odpadła. Kradzież bowiem została ujawniona o godzinie 18 minut piętnaście, w dziesięć minut od chwili rozpoczęcia kolacji. Dziewczęta kuchenne przebywały razem w kuchni, a wraz z nimi byli Walenty i Józef. Kuchnia przylegała do jadalni, drzwi z kuchni do jadalni były otwarte przez krótki czas nakrywania do stołu, ci z kuchni widzieli dokładnie tych nakrywających do stołu i odwrotnie. Nikt ze służby nie oddalił się ani na krok poza obręb kuchni i jadalni. Potem w czasie kolacji, około godziny 18 piętnaście, na prośbę jednej z dziewcząt kuchennych, Walenty i Józef udali się razem do biblioteki, aby przynieść brudne filiżanki po czarnej kawie. Zauważyli brak zegara i natychmiast przybiegli do kuchni zawiadamiając o kradzieży i wywołując z jadalni doktora W., a za chwilę i oficer milicji.

— Pozostaje trzy ewentualności — powiedział milicjant.

— Jeżeli przyjąć, że kradzież dokonał ktoś z państwa, to mógł to zrobić jedynie między za pięć minut 18 i pięć minut po 18. W ciągu dziesięciu minut. Jeśli zaś złodziejem jest ktoś ze służby, to mógł to zrobić jedynie między pięć minut po 18, a piętnaście minut po 18, a więc również w ciągu dziesięciu minut. Trzecią ewentualnością jest, że zegar ukradł ktoś spoza państwa i spoza pałacowej służby, ktoś nieznamy nam, a przebywający w pałacu.

— Tak, Duch Święty! — uzupełnił Grzegorz.

Milicjant zrobił nieszczęśliwą minę. Mruknął:

— Na domiar złego przed kilku dniami zepsuł mi się zegarek. Gdzieś tu w pałacu uderzyłem nim o coś i wypadło mi szkiełko.

— Czy to jest pańska własność? — Nataniel wyjął z kieszeni szkiełko. — Znalazłem je w „Złotym gabinecie”.

— O tak, tak. Dziękuję, serdecznie dziękuję — uradował się oficer.

Wokół borowskiego pałacu leżała noc. Pałac spał i nawet na schodach i korytarzach pogaszone już lampy. Świeciło się tylko światło, gdzie przy grającym radio odbiorniku piliem wódkę z Grzegorzkiem. Piliśmy ją bez zakąski, jak się to mówi „na chłama”, z zamiarem upicia się do nieprzytomności, gdyż jak się nam wydawało, tylko ten stan mógł nas odgradzić od niesamowitej atmosfery borowskiego pałacu. Jeśli bowiem w Borowie panoszył się duch, to chyba był to wystarczający powód do pijaństwa? Jeśli zaś, ktoś z nas trudnił się złodziejstwem — świadomość, że nie wiemy kim jest złodziej, że dla mnie podejrzanym mógł być Grzegorz, a ja dla Grzegorza — czyniła z Borowa prawdziwe piekło.

— Toomaszuu, ep, ep! — czekał Grzegorz. — Wierzyć w duuchy? Bo... ja nie wierzę. Nleee wierzę, rozumiesz? Nie wierzę jako były katolik i nie wierzę jako obecny marksista. Nie ma duchów, rozumiesz? A skoro, ep, ep... nie ma duchów, to znaczy złodziejem jest... No, kto jest złodziejem, Tomasz?

I Grzegorz walił pięścią w stółk wytrzeszczając na mnie przekrwawione oczy. Nagle załkał jak dziecko:

— A jeśli ukradł zegar... Nataniel? Poeta? Mistrz nad mistrze? O Boże, ep, ep! Tomasz...

— Nataniel nie jest złodziejem. Kto ci dał prawo obrażać mistrza? Mojego przyjaciela? Ukochanego poetę? Rozumiesz balowanie — belkotalem. — Grzegorz idź go przeprosić! — wymachiwałem rękami czyniąc ruchy podpatrzone w teatrze na scenie, gdy Hamlet wolał: „Idź do klasztoru, Ofelio!” — Idź na kolana, jak do Częstochowy. I przeproś poetę! poetę! poeeteeteete...

— Eeete... pete — powtarzał przeciągle Grzegorz.

— Do Nataniela! Do Częstochowy! — krzychałem.

Oczy Grzegorza rozszerzyły się zdziwieniem.

— To Na... fa... nie! uciek! ep, do Częstochowy...

Podnieśliśmy się z krzesel z mocnym postanowieniem odzicia pielgrzymki. Wytoczyliśmy się z palarni do sieni, z sieni do szatni, z szatni na schody. Na pierwszym piętrze tuż przy drzwiach — do biblioteki Grzegorz zaważył o własną nogę i jak długi rozłożył się na podłodze. I właśnie wtedy usłyszeliśmy. Tak, wyraźnie usłyszeliśmy:

— Dzyń!... dzyń!... dzyń!... dzyń!... — powoli, melodyjnie, jak klawesyn grał stary zegar.

— Hep... dzwoni! — wykrztusił przerażony Grzegorz.

— Dzyń!... dzyń!... dzyń!... — w ciszy pałacu jakby dygotały dzwoneczki.

Z początku trudno nam było ustalić, skąd ten dźwięk wypływa. Z dołu czy z góry, z prawa czy z lewa?

— Dzyń!... dzyń!... dzyń!... — a gdy zamarło ostatnie uderzenie, na moment otrzeźwieliśmy. Na tyle, aby ustalić, że zegar dzwonił, o rany boskie, dzwonił w bibliotece.

Dopadliśmy drzwi. Otworzyłem z łoskotem, namacałem kontakt elektryczny, buchnęły światłem dwa szklane żyrandole.

— Nie ma?... ep?... Nie ma! — strasznym głosem wrzasnął Grzegorz.

Nie było zegara na kominku. Nie widzieliśmy go też nigdzie indziej. Wokół nas dzwoniła tylko cisza.

Grzegorz ponuro zwiesił głowę.

— Zdarza się... po wódce Hallucynacje alkoholowe... Już cały miesiąc dzień w dzień piję.

— Ale ja? Dlaczego i ja? — pytałem z przestraszaniem.

— Widocznie jesteś mało odporny — rzekł. — Bądź pewien Tomasz, dziś usłyszeliśmy dzwonić, jutro zobaczymy białe nietoperze.

(d.c.n.)

Gdzie znajduje się skradziony zegar?

Co ujawni śledztwo?

Kto okaże się złodziejem?

— Czytajcie w następnych rozdziałach.

Redaguje Zespół. Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka”
Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 36, Tel. 244-79
Redakcja nie zamawia reprintsów nie zwraca
Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 12,- zł
Prenumeratę przysyła wszystkie placówki pocztowe. Listonosze oraz PUPIK
„Ruch” — Łódź, ul. Różewicza 17. Konto PKO — Łódź 7 — 6-579
z zastrzeżeniem na „Ogłoszenia”
Druk, RSW „Prasa” — Łódź, Zwińki 17, Z. 1743. VI 58. M-4.



EKRANIK

PSI OSCAR

Psa gwiazda Hollywood Spike, bohaterka filmu „Ol Yeller” Disney’a zdobyła nagrodę Patsy — czyli odpowiednik Oscara dla zwierząt. W ten sposób wyprzedziła ona swoje rywalki Lassie II i Cheete — malpę Tarzana. Jak donosi prasa amerykańska, Spike, podobnie jak inne wielkie gwiazdy ekranu, musiała przeżywać poważne trudności na drodze do sławy. Wielkie wytwórnie wielokrotnie odrzucały jej oferty, gdyż miedzy był wówczas typ psa w stylu Lassie i Rin-Tin-Tina. Lecz prawdziwy artyzm zawsze zwycięża i oto Spike w luksusowej budzie (z własnym basenem) przeżywa swój pierwszy wielki sukces.

SKAT



(Rys. Ibis-Gratkowski).

MODIGLIANI NA EKRANIE

W ostatnich latach powstało szereg filmów poświęconych wielkiemu malarzowi, m. in. „Dama z portretu”, „Moulin Rouge”, „Pajsaż życia”.

Prasa francuska twierdzi jednak zgodnie, że najlepszym dziełem tego cyklu jest nowy film Jacquesa Beckera „Montparnasse 19” poświęcony tragicznej postaci Modiglianiego. Jest to jednocześnie i najlepsze, najbardziej dojrzałe dzieło popularnego reżysera. Prasa określa ten film jako „dramatyczny essay o samotności człowieka”. Becker nie stworzył ani fresku historycznego, ani ilustrowanego przewodnika po życiu i dziełach „Modi”, lecz nakreślił wstrząsający portret człowieka trawionego rozpaczką i pasją twórczą, potęganego straszliwym nalgem, rozdarcie wewnętrznie, portret tragicznego i wielkiego kochanka. Tragedia niezrozumianego i samotnego artysty — oto centrum zainteresowań reżysera.

Malownicze i atrakcyjne środowisko cyganerii paryskiej zostało zredukowane do roli lekkiego naszkicowanego tła. Becker nie poszedł na ustępstwa wobec ba-

nalnego gustu publiczności. Dał film godny wielkiego malarza. „Modi”, to jedna z najwspanialszych kreacji Gerarda Philipe, uwolnionej wreszcie od schematu czarującego uwodziciela. Dopiero w tym filmie dał on miarę swego talentu. Sekundowała mu dzielnie uroczą Anouk Aimee.

SKAT.

W kinie

Warszawa Główna

Perony pełne ludzi, gwar, zamieszanie, sapiąca lokomotywa i ciągły, natręczywy głos megafonów, to zwykły dzień każdego dworca. „Warszawa Główna” J. Łomnickiego opowiada nam o takim właśnie dworcu, gdzie nie dzieje się nic wyjątkowego, a jednocześnie wyjątkowe jest wszystko — rozstanie i spotkanie, ostatnie słowa przed odlazdem i przyjazd pociągu, zawiedzione oczekiwanie, pusty peron kiedy ktoś bliski nie przyjechał. Zimowy wieczór osnuwa dworzec warszawski tajemnicą ludzkich przeżyć, które pozostają nieczytelne dla zewnętrznego świata, a jednocześnie wprowadzają na perony to wyjątkowe napięcie spraw, które mają się zacząć po podróży lub które dworzec zakończył. — W poczekalni noc ofiarowuje podróżnym chwile zapomnienia i ciężki, duszny sen. Potem znowu zacznie się zgłębienie peronów, pośpiech wsiadania i niepokój podróży.

Dworzec Warszawa Główna za parę lat ma pójść na emeryturę. Film Łomnickiego, pozostawiając wstrząsającą pamiętkę dla tych, co tu oczekiwali i byli żegnani, pamiętką nieporadności trudnych podróży lat pięćdziesiątych.

L. Z.



AUDREY HEPBURN W KLASZTORZE



Znakomity reżyser amerykański Fred Zinneman kręci obecnie w Rzymie film zatytułowany „Historia jednej miłości”. W głównych rolach występują Audrey Hepburn, Peggy Ashcroft i Penelope Horner. Ale już dwukrotnie w chwili rozpoczęcia realizacji filmu, trzy piękne panie zniknęły w jakiś tajemniczy sposób na przeciąg kilku dni. Fakt ten wywołał zrozumięło podniecenie w kregach licznych wielbicieli i wciśbiskiej prasy. Czyżby jakiś romans w życiu spokojnej i zrównoważonej Audrey? Miejscowi

defektywi odkryli wkrótce, że celem podróży aktorek był Paryż. Rzymianie poczuli się urażeni. Jak to, więc „wieczne miasto” nie jest dosyć atrakcyjne dla amerykańskich gwiazd? Czyż rzymska „primavera” nie jest dosyć piękna? Okazało się jednak, że aktorki nie szukały wcale w Paryżu atrakcji ani rozrywek. Prosto z lotniska jechały bowiem do pewnego cichego klasztoru klarysek. Tam przeorysza przedstawiała je jako 3 siostry angielskie udające się z misją do Afryki i bawiące przejazdem w

Paryżu. Przez pięć dni młode aktorki, odziane w surowe habitę wiodły żywot zakonne dzieląc wszystkie trudy i modlitwy mieszkanki klasztoru. Po powrocie do Rzymu jedna z w tajemniczość w sprawie przycięcia zapytała Audrey Hepburn: W Rzymie jest przecież tyle klasztorów, nie rozumieć więc po co macie jeździć aż do Paryża.

„Och! — odrzekła z całą powagą uroczą artystka — chodzi o to, że przeorysza, która nas tak gościnnie przyjmuje, jest starą przyjaciółką Zinnemana.

Miłośnicy sztuki filmowej mają w bieżącym miesiącu prawdziwą ucztę. Na ekrany wchodzi bowiem kilka interesujących filmów, popartych dosyć znanymi u nas nazwiskami.

Przed wszystkim zobaczymy więc „Ryszarda III” — najnowszą jego trzecią adaptację Szekspira dla ekranu.

Mistrz napięcia i intrygi, twórca niezapomnianej „Ceny strachu” — Georges Clouzot, autor filmu „Kto zabił?”, o którym piszemy niżej, przedstawi naszym widzom makabreską pod wymownym tytułem „Widmo”. Polecamy ten film ludziom o mocnych nerwach.

„Wieczorni goście” — to okupacyjny jeszcze film „poety ekranu” — Marcela Carné. Posługując się średniowieczną legendą, reżyser porusza sprawy całkiem współczesne.

W czerwcu zobaczymy także głośny film japoński nagrodzony na jednym z poprzednich festiwali w Cannes — „Księżniczka Sen”. Film ten jest bajeczną feerią barw. Szkoda tylko, że polskie kopie wykonano w kraju, mało doskonałym systemem „Agfa-color”. Prócz wymienionych wyżej filmów, ujrzymy jeszcze dwa obrazy reżyserii Juliena Duviviera — komedię kryminalną z Fernandem („Człowiek w nieprzemakalnym płaszczu”) oraz komedię satyryczną „Imieniny Henrietty”. Dalej zobaczymy czeską wersję nieśmiertelnego Szwejka w filmie „Dobry wojak Szwejk”, zachodnio-niemiecki obraz kryminalny „Nieżyty świadek”, dwa filmy radzieckie o tendencjach neorealistycznych — „Wiosna na ulicy Zarecznej” i „Na naszym podwórku” oraz włosko-francuski film (też z Fernandem w roli tytułowej) — „Przygody komiwojażera”.

(JAL)



LUDZI SYMPATYCZNYCH

Dziś przedstawiamy Jana Tyszlara, plastyka i filmowca. Jest on absolwentem krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, zdobywcą nagrody w jednym z naszych konkursów i autorem motywu pt. „Zegar”, którą zamieszczamy obok.

Są ludzie sympatyczni bardzo i sympatyczni tylko trochę. I są tacy najbardziej sympatyczni o których wszyscy mają dużo dobrego do powiedzenia. „Wszyscy” to w tym przypadku pewien pan, który codziennie chodzi po parku z czarnym nieprawdopodobnie kudłatym Tomem, jedną miłą panią od Kilka spaniela, inny pan, który ma 2 boksery i jeszcze dużo, dużo osób i psów. Wszyscy oni doszli do wniosku, że naj-naj-sympatyczniejszym człowiekiem jest p. Dr Ryszard Ganasinski, który wyleczył już tysiące psich łap i przywrócił do zdrowia wiele cierpiących czworonogów.

(Aba)

KTO

ZABIŁ?

Utarło się przy rozpatrywaniu filmu zrealizowanego przez zdolnego reżysera — obdarzać obraz niejako — kredytem dobrymi słowami, a nawet doszukiwać się w nim walorów nie istniejących. Tym tłumacząc sobie przyjęcie, które spotkało „Kto zabił?”, dawny film Clouzota. Zresztą życiowe przyjęcie jest w tym wypadku nieco usprawiedliwione. „Kto zabił?” zdobył bowiem dla późniejszego autora „Ceny strachu” — nagrodę za reżyserię na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Wenecji (1947).

Niestety. Mimo nagrody

reżyseria „Kto zabił?” pozostawia sporo do życzenia. Są w tym filmie jedynie dwie sceny warte uwagi. Pierwsza, gdy Maurice (Bernard Blier) postanawia udać się do Willi Brignona, a pamięta przestrożę żony, napominającej o gilotynie. Maurice stoi przed szafką, w której odbija się jego twarz. Zamyka okienko i twarz spada, jak gdyby była ścięta gilotyną. Druga, równie znakomicie pomyślana scena sportowa późniejszej, gdy tak zwany (znakomicie zagraną rolę!) zmuszony jest uciekać Dorę (Simone Renant).

Wymieniam te sceny, bo w

nich jedynie ukazują się pomysły reżyserskie Clouzota. Nastroj pozostających scen powstaje dzięki fenomenalnej kreacji Louisa Jouvet, który z nienajbardziej postaci komisarskiej Antoina potrafił wydobyc maksimum wyrazu. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że „Kto zabił?” jest filmem „zrobionym” przez Jouvet.

Ale aktor, choćby najlepszy, może tylko załatwić pewne niedomaganie reżyserii. Nie może natomiast zastąpić sobą braków scenariusza, o ile ten jest zły. Tak dzieje się w wypadku „Kto zabił?”. Według wszelkich zapowiedzi, ma to być film sensacyjny. Ale nim nie jest.

Dlaczego?

Przed wszystkim zaważyło na tym niefortunne skonstruowanie opowiadania. Przyjmijmy, że morderstwo popełniła Jenny. Wtedy wszystko, co nam każe oglądać reżyser, nie ma większego sensu, jako że dzieje się po fakcie. Widz wie wszystko i ogląda ten film jako obraz psychologiczny, a nie kryminalny. Wówczas rzecz jest kompromitowana przez setkę kolejnych słabizn, ponieważ w filmie psychologicznym nie do pomyślenia są deklaratorywności i uproszczenia typu „Kto zabił?”. Te same uniki psychologiczne scenariusza, traktowane być mogą w filmie sensacyjnym jako prze-

jaw określonej a przyjętej konwencji. Tylko że film Clouzota nie jest obrazem sensacyjnym, bo nawet, gdyby Brignona zabił ktoś trzeci, to i tak ekran zadowolony by się musiał podaniem wyjaśnienia. Ciekawostki, tak czy inaczej, pozostają na uboczu.

Powyższy wywód miał na celu wyłożenie, dlaczego film Clouzota nie osiągnął najwyższej klasy. Oczywiście, nie zdradzę (ze względu na Czytelników, którzy jeszcze „Kto zabił?” nie widzieli) — prawdziwego sprawcy morderstwa. Muszę jednak nadmienić, że jedynie w wypadku, gdyby Brignona zabił Maurice — widzowie mogliby napotkać niespodziankę.

I jeszcze jeden drobny błąd. Między innymi „Wiadomości Filmowe” w streszczeniu „Kto zabił?” piszą:

„Dora postanawia udać się do Willi i zatrzymać tam ślady pobytu obojga małżonków”.

Nieprawda. Dora nie może iść do Willi zamordowanego Brignona w celu zatarcia śladów obojga małżonków, bo wie jedynie o wizycie Jenny O swojej wizycie Maurice mówi jej dopiero potem.

„Jeśli znajdziesz u nas błąd, przypominaj sobie, ilu błędów dzięki nam uniknęłaś” — piszą „Wiadomości Filmowe” w każdym ze swoich numerów. Przypomniałem sobie. Wybaczam.

EDWARD ETLER

konkurs tygodniowy